TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 32 Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 23 kwietnia / 5 maja 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Stanisław Potocki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa.— Kościół oo. reformatów w Sandomiérzu (z drzeworytem). — Wierzba, poezya (z drzeworytem).— Hulanka w sądzie (z drzeworytem). — Biblioteka jagiellonska w Krakowie (z drzeworytem). — Szachy.—Rebus.— Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Okropna noc w garderobie teatralnéj, ramotka (dokonczenie).— Święte chwile, poczya.— Doniesienia.—

Stanisław Potocki.

Był Stanisław Potocki znakomitym mężem piérwszych chwil bieżącego wieku, lubo się już odznaczył i za panowania Stanisława Augusta. Dawniejsze jednak zasługi jego z czasów rzeczypospolitéj byłyby łatwo poszły w zapomnienie, gdyby późniéj nie złożyły się tak okoliczności, że Potocki wyszedł na męża stanu i znakomitość wielką. Epoka jego zaczyna się z nastaniem księstwa warszawskiego, a trwa aż do śmierci, która nastąpiła już za odrodzonego królestwa polskiego.

Pochodził z młodszéj linii Potockich, która się dzisiaj nazywa willanowską. Przodek téj linii, sławny pod Gołębiem obrońca Michała przeciwko zamachom panów, Feliks, późniéj kasztelan krakowski i hetman wielki koronny miał syna Jerzego na Podhajcach, starostę grabowieckiego i tłumackiego na Rusi. Jerzego znowu syn, Eustachy, generał artylleryi litewskiéj, jak cała można rodzina Potockich, stawał ostro przeciw królowi Stanisławowi Augustowi i na sejmie konwokacyjnym szedł w orszaku Mokronoskiego. Za żonę miał Maryą, ostatnią z Kąckich, wnuczkę sławnego towarzysza króla Jana, miecznikównę koronną, i bogaty za nią wziął posag. Doczekał się z niéj jednéj córki i pięciu synów; z nich najstarszy, Kajetan, był starostą urzędowskim, Ignacy marszałkiem wielkim litewskim, Jerzy starostą tłumackim i posłem do Szwecyi, o Stanisławie zaraz powiemy, a najmłodszy Jan był brygadyerem wojsk koronnych.

Z tego grona braci wsławili się w dziejach Ignacy i Stanisław.

Stanisław urodził się w Lublinie w r. 1752, bo tam po większéj części rodziły się dzieci Eustachemu. Z bratem Ignacym, o rok zaledwie starszym, pobierał nauki w konwikcie Konarskiego; najczulsza przyjaźń łączyła ich obudwu z sobą. W roku 1768 utracili przez śmierć ojca.

Rzadko kto był tak szczęśliwy na świecie, jak Ignacy Potocki. Przeznaczony do stanu duchownego, odebrał już mniejsze święcenia. Nic w nim z początku nie zapowiadało wielkiego męża w ojczyznie. Ale podobał się i znalazł możnych przyjaciół na świecie. Dzieckiem już piastował laskę w Radzie nieustającéj.

STANISŁAW POTOCKI.
Rysował Polkowski, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Stanisław przez całe panowanie Stanisława Augusta nie wyszedł po za kres zwyczajny. Lubo już wtenczas słynął wymową, sam przez się nie wiele znaczył; rosnął tylko stosunkami brata, od niego brał cały swój blask i znaczenie.

Ignacy miał szlachetną ambicyą. Potoccy po największéj części oddalili się od tronu i żyli na osobności; ztąd tracili wiele i nie mieli wpływu na losy kraju. Ignacy chciał przywrócić najpiękniejsze chwile dla rodziny, ale nie żył dla pychy, jak wojewoda kijowski, albo jak podczaszy litewski Joachim. Rzeczpospolitą trzeba było ocalić, przeformować. Otóż Potocki wszystko poświęcał dla ulubionéj swojéj myśli. W tym celu związał się z familią, to jest z osobami spokrewnionemi z królem i dlatego wywierającemi wpływ wielki na losy narodu. Ożenił się z marszałkówną koronną Elżbietą Lubomirską. Potém z drugą jéj siostrą Aleksandrą ożenił się Stanisław w r. 1776: ślub odbył się w Willanowie 2 czerwca.

Król Stanisław August mianował dopiéro w pięć lat potém naszego pana Stanisława podstolim koronnym (25 maja 1781 r.). Urząd ten piastował Potocki zaledwie trzy lata, gdyż go złożył w czerwcu 1784, ale dał mu za to król obadwa ordery polskie. Poświęcił bez żalu Stanisław tę gałęź służby narodowéj, bo serce mu się rwało do innego zawodu. Lubił młodzież i rycerstwo, chciał się poświęcić młodszemu od siebie pokoleniu, wolał kadetów jak dwór, wojsko jak pokoje, i wszedł do artylleryi koronnéj, w któréj dostał zaraz stopień generała-majora. Oddawna także gorzał zapałem sejmowym, jak brat Ignacy chciał rad usłużyć ojczyznie, a miał do tego niepospolity dar wymowy, więc nie dziw że lubił się zrywać czasami do pióra.

Od r. 1782 Stanisław posłuje na wszystkich sejmach z kolei, a zawsze z lubelskiego. Wystąpił najprzód w r. 1782 w obronie biskupa Sołtyka, który miał smutne zajście z kapitułą; był to krok piękny, szlachetny. Na sejmie grodzieńskim z roku 1784 niesłychanie był czynny, gdyż wiele tam mówiono o sprawie wojskowéj, która go tyle zajmowała. Wybrany wtenczas do Rady nieustającéj, zasiadał w departamencie skarbowym. Piérwsza mowa, jaką wtedy wypracował na piśmie, była to pochwała pośmiertna Mokronoskiego, wojewody mazowieckiego. Ale największe

pole otwarło się dla niego na sejmie cztéroletnim. Był wprawdzie z początku obrad przeznaczony na posła do Francyi (w grudniu 1788), ale późniéj brał udział we wszystkich pracach prawodawczych sejmu wielkiego i przemawiał często wśród izby. Potocki należał do najznakomitszych i najwymowniejszych posłów ówczesnych, a bratu dzielną niósł pomoc, gdy szło o napisanie zasad do ustawy, którą sejm przyjął. Kiedy Szczęsny Potocki zerwał z narodem, generalstwo artylleryi koronnéj po nim zawakowane dostało się naszemu Stanisławowi (w marcu 1792).

Brał udział nasz generał w wojnie, która potém wybuchła na Litwie przeciw Targowicy, ale w boju nie był szczęśliwy.

Za czasów pruskich siedział w Warszawie, albo w Willanowie pod Warszawą. Dom jego staropolską gościnnością oddychał, chociaż miał polor zupełnie francuzki. Pani Potocka nadawała wtedy ton zebraniom towarzyskim. Grzeczna, uprzejma, wylana, zapraszała do siebie *na herbatę*; nigdzie téż tak licznie jak u niéj nie gromadzili się goście. Czasami dla niéj znowu, na imieniny np., sprawiało towarzystwo warszawskie niespodziankę przez wdzięczność. Synowa jéj, pani Aleksandrowa Potocka, spraszała wtedy gości do Willanowa; illuminacye, teatra, bale maskowe, deklamacye odbywały się w pokojach, lub pod gołém niebem. Zebrania te świetne ożywiał dowcip i rozum pana domu. Opiekun teatru narodowego, jeden z najgorliwszych członków Towarzystwa przyjaciół nauk, sławny mówca z tradycyami dawnemi, nowemu pokoleniu świadczył o ubiegłéj sławie rzeczypospolitéj. Pani Potocka była wyrocznią tonu, pan Potocki wyrocznią ludzi rozumnych i literatury. Podobał się nawet z téj strony Ludwikowi XVIII, który podówczas mieszkał w Łazienkach pod Warszawą. Wygnaniec chętnie z nim przestawał; nie dopuszczał innych ludzi do siebie, żył dosyć samotny, a Potockiego lubił. Zkąd przyszła mu ta miłość? Ludwik XVIII był dobrym hellenistą. Potocki w rozmowie z nim nieraz greckie i łacińskie wiérsze przytaczał, a Ludwik się dziwił, że i Polacy umieją po łacinie. Ale francuzczyzna zabijała wszystko dobre, które robił Potocki za czasów pruskich. Wychowanie było samo temu winne. Zacny umysł Potockiego tak owładnęły modne pojęcia, których zaczerpał od dziecka, że nie troszczył się o czystość języka, a kiedy mu wyrzucano gallicyzmy, nic sobie z tego nie robił, przekonany w sumieniu swém, że polszczyznie wielką wyświadcza przysługę, nakręcając język do zwrotów francuzkich; owszem przechwalał się z tém jeszcze, jakby z czego dobrego. Nie mówił tego głośno, ale w pojęciu jego było to zapewne przekonanie, że język na pół barbarzyński, sarmacki cywilizuje, zbliża do form języka najpolerowniejszego na świecie. Wszakże Potocki szczérze w to wierzył i powtarzał, że Szymanowski piérwszy zaczął w języku narodowym serdeczne wyrażać uczucia, że nakręcił go do téj doskonałości. Potocki wierzył zapewne, że język francuzki był od początku językiem Bogów i dla nich stworzonym, a może w gruncie serca żałował że się Francuzem nie urodził. Dziwne to w istocie pojęcie, ale był wiek taki, i tacy w tym wieku musieli być literaci i mówcy.

Położenie osobiste Potockiego, znakomite za czasów pruskich, było jednak zaledwie cieniem tego, czém został po roku 1806.

Za wejściem wojsk francuzkich do tak nazwanych Pruss południowych, Potocki razem z innemi obywatelami wezwany najprzód został na członka kommissyi rządzącéj w r. 1807. Po zawarciu pokoju tylżyckiego, razem ze Stanisławem Małachowskim, Wybickim, Ludwikiem Gutakowskim i t. p., pojechał na rozkaz Napoleona do Drezna, do boku królewskiego. Wybicki wiózł go chorym z Warszawy. Po drodze notowali obydwaj myśli do konstytucyi księstwa warszawskiego; ale nadzieja ich omyliła, bo Napoleon całą ją podyktował, a członkom kommissyi rządzącéj dziękować tylko przyszło za łaski Napoleonowi.

Mianowany za to senatorem wojewodą, za piérwszéj bytności króla saskiego w Warszawie, w grudniu 1807 r., w lat kilka został prezesem rady stanu i ministrem, t. j. zastępcą króla samego w księstwie; bo konstytucya przepisywała, żeby na czele rządu polskiego stał albo z wielkiemi pełnomocnictwami wicekról, którym mógł być ksiażę zagraniczny, albo prezes rady stanu i ministrów, którym zawsze musiał być Polak. Przy tych urzędach wysokich, jednocześnie powierzono Potockiemu wydział który najwięcéj kochał, t. j. zrobiono go dyrektorem izby edukacyjnéj w księstwie i komendantem korpusu kadetów. Wśród ciągłych wojen jakie toczyło księstwo, nie było czasu do wszechstronnego rozwoju; a jednak Potocki gorąco zajmował się szkołami, wygotował projekt organizacyi wydziału nauczycielskiego i pijarom wielkie przywileje wyjednał u króla.

Za królestwa polskiego, przy nowém urządzeniu kraju, był Potocki przez jakiś czas prawie wszechmocnym, lubo stracił prezesostwo rady stanu i ministrów, które zniesiono, gdy był namiestnik. Tytuł dyrektora izby edukacyjnéj zamienił wtedy na urząd ministra wyznań religijnych i oświecenia. Komendantem korpusu kadetów był ciągle.

Łatwo więc pojąć, jak głos jego był stanowczy. Minister samowładnie rozkazywał literaturze, znakomity literat i mówca ozdabiał krzesło ministeryalne. Wielkie jego naukowe stanowisko w Towarzystwie przyjaciół nauk, staje się teraz jeszcze wybitniejsze, mowy sypał na mowy, pochwały za pochwałami. Gdy mu już osób zbrakło, chwalił przed światem np. wojowników poległych w wyprawie księcia Józefa do Galicyi i stawił im pomnik w Willanowie. Wdawał się i w teorye, napisał albowiem dzieło *O wymowie i stylu*; zastanawiał się nad teoryą sztuki, bo wydał inne dzieło: *O sztuce u dawnych, czyli Winckelmann polski*. Wszędzie język skażony, rzeczy mało. Najwybitniejszym był reprezentantem ówczesnego zwrotu wymowy naszéj, wymowy co nie szukała treści, ale potokiem szumnobrzmiących wyrazów chciała zadziwić słuchaczy, a czasami nawet rozczulić. Potocki służyć może za przykład, do czego prowadzi skrzywione wychowanie krajowe. Nie ubliża się tu Potockiemu, bo mówi się tylko prawdę. W swoim czasie słynął jako najznakomitszy mówca, jako człowiek ogromnych zdolności i ogromnego wpływu w literaturę; nazywano go nawet *księciem mówców*, i wszyscy w to ślepo wierzyli. Potocki tedy, przyjmując to stanowisko, które mu nadał oplątany w formułkach głos publiczny, szczodrze, jako książę, szafował tytułami i z wysokości znaczenia swojego mianował mówców. Tak w Polsce za czasów księstwa warszawskiego zebrał się cały areopag najznakomitszych imion świata: jeden był Cyceronem, drugi Demostenesem, trzeci Kwintylianem polskim i t. d.

Ale z czasem przerachował się Potocki. Katolik z urodzenia, był w gruncie serca filozofem, deistą. Ztąd teorye swoje rozwijał w broszurach, które na świat puszczał raz wraz jako: *Świstki krytyczne*. Zawiązała się około téj sprawy gorąca polemika, w któréj wziął udział Jan Kalasanty Szaniawski, kiedyś zwolennik filozofii niemieckiéj (Hegla), i brat rodzony Wawrzyńca, ksiądz Karol Surowiecki, który na każdym kroku ścigał i bił *Świstki krytyczne*.

Potocki, wielki protektor Towarzystwa biblijnego, które się podówczas rozgałęziło po Europie, na sejmach dowodził potrzeby rozwodów i razem z arcybiskupem prymasem Malczewskim, (wprawdzie za upoważnieniem Rzymu), kassował wiele instytucyj duchownych, kollegiat i klasztorów.

Pod tym względem wszechwładny minister wierny był pojęciom, jakie wynosił jeszcze z epoki Stanisława Augusta. Dwór tego króla cale filozoficzną miał cechę, a najświatlejsi ludzie z téj epoki, którzy stali na czele postępu i oddychali myślą reformy, jak np. Konarski, Kołłątaj, nie mogli się jakoś łatwo, acz sami księża, we wszystkiém pogodzić z kościołem.

Jeszcze mocno stał Potocki, gdy po śmierci Tomasza Ostrowskiego został mianowany prezesem senatu królestwa (31 lipca 1818 r.) Po Stanisławie Małachowskim, Gutakowskim i Ostrowskim, był to czwarty prezes senatu.

Ale tutaj kres jego powodzeń.

Napisał sławne dzieło w cztérech tomach *Podróż do Ciemnogrodu*. Jestto fantazya poetycka; autor błądzi niby w krainie duchów. Wiara ludowa, legendy, cudowność, wszystko tam śmiesznością okryte.

Dzieło to dużo narobiło hałasu, i podobno ostatecznie przyłożyło się do tego, że postarano się usunąć go z ministerstwa. Jakoż w r. 1820 został od obowiązków tych uwolniony, zachowując jednak stopień prezesa senatu, pensyą i głos w rządzie, jako minister stanu. Następcą jego mianowany Stanisław Grabowski.

Uwolnienie ze służby Potockiemu było podpisane w Tropawie d. 9 grudnia 1820 r.

Sześćdziesięcio-ośmio letni starzec usunął się do swojego Willanowa i zajął się wtedy własnemi sprawami, ale ledwie dziewięć miesięcy przeżył cios, który go spotkał. Głównie jego usiłowaniom winna Warszawa, że powstał w niéj uniwersytet i że się prędko rozwinął rektorstwo tego zakładu naukowego, który czułą miłością otoczył, przeznaczał Potocki Lindemu, ale gdy się to nie udało, wyrobił ulubieńcowi osobny urząd dyrektora generalnego bibliotek rządowych. W istocie za staraniem ministra i Lindego dźwignęła się w Warszawie publiczna biblioteka, niezmiernie bogata w rzeczy polskie. Minister niezmiernie lubił zajmować się edukacyą publiczną i zakładami naukowemi, kochał oświatę i chciał ją szerzyć wszelkiemi siłami w narodzie. Na jedno tylko nie miał względu, bo wiek nie był po temu: oto nie podniósł stanu nauczycielskiego pod względem materyalnym; niktby nie uwierzył, jak małe pensye płacono ludziom, którzy oświatę szczepili w kraju.

Umarł Potocki w Willanowie 14 września 1821 r. i tamże pochowany. Żył lat 69. Willanów wiele mu winien blasku swojego i ozdoby. Czcił święcie pamięć Jana III i zbierał skrzętnie po nim pamiątki. Do biblioteki willanowskiéj zgromadził prawdziwe skarby historyi; całe archiwum familijne Szczuków i Kątskich, papiery Ignacego Potockiego i Czartoryskich tu utonęły. Biblioteka willanowska jest to dotąd *terra incognita* dla nauki i literatury, jeszcze oko biegłych nie wnikło w głąb' téj czarownéj oazy.

Minister z żony swojéj zostawił jednego tylko syna Aleksandra, który był późniéj kasztelanem królestwa polskiego i koniuszym dworu. Umarł w 1845 r. w Warszawie.

Julian Bartoszewicz.

Kronika tygodniowa.

Chciałbym, o chciałbym szczérze jakim hymnem do majówki rozpocząć dzisiejszą kronikę. Ale o hymny teraz trudno, coraz trudniéj, zapadły one w przeszłość wraz z bohaterami, których chwałę opiewały zwykle. Teraz bohaterowie łatwiejsze lubią tryumfy, i jedynie wyprawy po złote runo pozostały jeszcze we zwyczaju. Ale cóż, o fatalności rzeczy ludzkich! najczęściéj się zdarzy, że złote runo ominie nowożytnego Jazona, a jaka czarownica Medea uczepi się go za to, i spokój mu na zawsze zatruje.

Nie myślcie żeby to była przymówka, żebym w tém czyjéjkolwiek osobistości dotykał. Mówię ogólnie, a kto się poczuje dotkniętym, niech siedzi cicho, bo i po co mu było do Kolchidy jechać. Warszawa zresztą pod jednym względem małomiejskie przypomina życie: wszyscy się tu znają, wszystko wiedzą, wszystko odgadną, choćby to co nawet nie miało miejsca. To kumoszkowe miasto, a echo tak dobrze tu urządzone, że powiedz komu coś do ucha przy rogatkach powązkowskich, to pewno pod belwederskiemi ten sekret odbrzmi jak najlepiéj. A najniedyskretniejszą jest publiczność czytająca kroniki tygodniowe, już nieraz miałem sposobność przekonać się o tém. Chociażbym powierzył jéj co pod strażą najgłębszéj tajemnicy, wnet wszystko rozgłosi, i mnie biednego autora kroniki tygodniowéj skompromituje tylko. Ale cóż czynić, kiedy już raz poświęciłem się na usługi téj niewdzięcznéj publiczności, muszę krzyż mój znosić aż do końca.

Mówią że wiek nasz nie jest wiekiem poświęceń, że znikły one w potoku prozaizmu i ruchu giełdowego. Fałsz wierutny! fakta same zaprzeczają temu. Ot niedawno, bo nie daléj jak w zeszłym tygodniu, byliśmy świadkami, jak młody człowiek dla służby płci pięknéj rzucił się w ogień... literalnie w ogień. I to nie tak jak mybyśmy to zrobili, czytelnicy, ja albo wy, piechotą (co zresztą nie tak wielką byłoby sztuką), ale na koniu, wznawiając zwyczaje średniowieczne, które już w tak zupełną niepamięć poszły u nas. Rzeczywiście zręczność jeźdzca i śmiałość konia podziwu godne. Rozpalono wielki ogień ze słomy, szerokości najmniéj dwóch łokci, a hrabia R* *sześć* razy przejechał przezeń konno tam i napowrót. Rachowaliśmy sumiennie, jako należący do świadków, był to bowiem podobno zakład, który jak widzicie z chwałą dla wyzywającego rozstrzygnięty został. To pewna że koń szedł w ogień jakby żuaw jaki, i nie wątpię, że użyty

w przypadku wojny, samby potrafił wziąć armatę nieprzyjacielską. Koń zwał się *Taraban*, co jak widzicie jest nazwą zgodną z jego *ognistém* usposobieniem, a notujemy ją tu, żeby w szpaltach Tygodnika Illustrowanego przekazać to zdarzenie do nieśmiertelności.

A teraz o czém inném.

Jedna z dam tutejszych otrzymała w tych dniach od przyjaciółki zamieszkującéj zabużańskie okolice, depeszę telegraficzną, z prośbą o zakupienie stu par rękawiczek paryzkich. Sto par rękawiczek dla jednéj osoby, i to tak gwałtownie potrzebnych, że aż telegrafem o nie żądanie przychodzi, to nie żarty, cywilizacya idzie w górę. Ale nie koniec na tém; korrespondentka przy obstalunku zapomniała donieść o mierze swojéj ręki. Idzie więc telegrafem zapytanie o ten tak ważny dodatek, i odpowiedź tąż samą drogą, że miara ma trzymać sześć cali, co jest dowodem małéj bardzo ręki. Snadź jednak zmiarkowano że miara jest za małą, bo w parę godzin przychodzi jeszcze jedna depesza telegraficzna, żeby rękawiczki większe o pół cala kupić. Na tém się już podobno skończyło; zdaje się jednak że i tak z powodu owéj telegraficznéj kommunikacyi, rękawiczki musiały wypaść więcéj jak po podwójnéj cenie.

Jakie to szczęście że wynaleziono te telegrafy elektryczne! Co to za dobrodziejstwo dla ludzkości! Przyznajcie że gdyby nie one, rękawiczki paryzkie doszłyby tę damę w tydzień może późniéj! I co gorsza, mogłyby nie zupełnie dobrze leżéć na ręce!! O wynalazco elektryczności, chwała ci!

Jakaż tu mi wyborna nadarza się zaraz sposobność. Mogłbym z powodu elektryczności i tych którzy się przyczynili do rozprzestrzenienia i objaśnienia téj ważnéj części nauki, popisać się tu zaraz z niemałą uczonością, zaczerpniętą z niedawnego odczytu p. Przystańskiego w salach resursy kupieckiéj. Wolę jednak nie okradać szanownego professora i powiedzieć tu tylko, że wykład jego był zwięzły i przystępny, jasny i zrozumiały. Szczególniéj doświadczenie ze światłem elektryczném jako ostateczny rezultat, bardzo zajęło słuchaczów. A mówimy tu o wykładzie p. Przystańskiego, z powodu wydarzonéj tak w porę elektrycznéj sposobności, nie podobna nam bowiem w naszéj kronice raz na tydzień wychodzącéj, idąc w ślad za temi tak ważnemi objawami społecznego życia u nas, zdawać sprawę o odczytach wszystkich szanownych professorów, które po dwa razy na tydzień miały miejsce. Streszczone sprawozdanie z tych odczytów i wymienienie najgłówniejszych z nich punktów, samoby starczyło na zapełnienie całéj kroniki tygodniowéj. Powiem więc tylko w ogóle, że tak wybór przedmiotów jak i wykład samychże professorów, odpowiadają w zupełności celowi swojemu i oczekiwaniom światlejszéj publiczności. Odczyty te zresztą zaaklimatyzowały się w mieście naszém i stały się prawie jego potrzebą. To najlepiéj przemawia za ich użytecznością.

Coraz bardziéj rozpowszechnia się moda fotograficznych biletów wizytowych i w niektórych domach pozbiérano już albumy z takich biletów. I któżby powiedział że w samym zakładzie p. Beyera, (prawda że to najznaczniejszy z zakładów naszych) wyrobiono od nowego roku przeszło 10,000 takich biletów. Wszelka inna robota poszła na bok, przez cały Boży dzień jedne tylko robią się bilety i bilety bez końca. Niektórzy polecają wykonywać podwójnie swój wizerunek, dla bliższych i dla dalszych znajomych, w negliżu i w całéj tualecie. Zabawna jest często rozmaitość pozycyj. Znałem jednego, który wszystkim damom znajomym chciał rozdawać portret swój z ręką na sercu i zaledwie wyperswadowano mu ten rodzaj niemego oświadczenia się. W bieżącym tygodniu dla p. A. P. urzędnika powszechnie cenionego i szanowanego, koledzy jego w dzień imienin kazali wykonać album fotograficzne, składające się z samych tylko ich portretów. Piękna ta i miła pamiątka wręczoną została solenizantowi w zeszły czwartek.

Że pomimo instytutów dobroczynnych, w coraz większéj liczbie powstających, żebractwo ciągle rozszerza się u nas, to każdemu wiadomo. Nie wchodzimy w moralne przyczyny tego objawu; smutne one w każdym razie, dowodzą bowiem rozpowszechniającego się wstrętu do pracy, a chęci łatwego chociaż upokarzającego zarobku. Ale z całéj téj plagi najgorsza jest tak zwana żebranina po domach. Ludzie dość nawet przyzwoitéj powierzchowności, chodzą osobiście żądając wsparcia, lub rozpisują listy rozmaitéj treści. A oburkną się, jeżeli im kto małą ofiaruje kwotę, jak gdyby to ubliżało ich godności żebrackiéj. W takich listach dziwne nieraz zawierają się żądania. Jedna z dam, znana tu ogólnie z hojnego świadczenia ubogim, otrzymała w tych dniach list, w którym nieznajomy jéj korrespondent prosi o pożyczenie mu 10,000 rs., grożąc utopieniem się, jeżeli kwota w oznaczoném miejscu i czasie nie będzie mu doręczoną. Dama owa przysłała rubla, i korrespondent, obraziwszy się mocno, przyjął jednak ten pieniądz, a z utopieniem czeka snadź jeszcze na cieplejszy stan wody. Listy bezimienne o różne spore summy są nawet dość częste, odbierają je codziennie prawie kapitaliści nasi i osoby znane z dobroczynności. A tysiąc rubli, to jak orzech zgryzł, zdawałoby się że piérwszy lepszy ma prawo tego wymagać i że nie można mu odmówić.

Wynalazki, i to jedne od drugich bardziéj zadziwiające, sypią się ciągle jak z worka. Niedawno jeden z panów tutejszych, znany z chętnego popierania przemysłowych przedsiębierstw, otrzymuje list, w którym proszonym jest usilnie o zakupienie machiny elektrycznéj, nieodbicie potrzebnéj do wprowadzenia w czyn nowego pomysłu mającego zastąpić parę.

Ponieważ tych pomysłów w ostatnich czasach mrowie całe wysypało się na świat, pan ów, przywoławszy autora listu, poprosił zarazem do siebie kilku tutejszych professorów, którzy mieli stwierdzić możliwość tego wynalazku. Jak się to łatwo domyśléć, była to nowa mrzonka, jak tyle innych, nie mogąca w żadnym razie otrzymać praktycznego zastosowania. Sądzimy że jegomość ów z dobrą wiarą ufał swojéj inwencyi, ale w takim razie uczeni professorowie, dowodząc jéj niemożebności, uczynili mu prawdziwą przysługę, zwłaszcza jeżeli słowom ich zawierzyć zechce, i nie będzie nadal marnował czas drogi nad teoryami niepodobnemi do wprowadzenia w czyn.

W litografii Fajansa p. Maleszewski, znany tutejszy artysta, wydał nakładem swoim tablicę obejmującą wszystkich królów polskich w małym formacie, z krótkiemi wiadomościami biograficznemi, pod każdym portretem zamieszczonemi. Tablice te, odznaczające się bardzo przystępną, niepraktykowaną prawie u nas dotychczas ceną, przeznaczone są wyłącznie prawie do użytku dzieci, i jako takie odpowiadają dobrze swojemu założeniu. Dokładność szczegółów i wierność portretów, tam gdzie można było niemi się posłużyć, wszędzie prawie, z małemi tylko wyjątkami, zachowana, a jeżeli wybór medalionów i rysunków któremi się artysta posługiwał, nie we wszystkich portretach równie szczęśliwy, to zawsze posługiwanie się temi zabytkami sztuki dowodzi pracy i staranności, która artyście za zasługę powinna być policzoną, a do któréj tanie publikacye takiego rodzaju, jakie dotychczas miały miejsce tutaj, nie przyzwyczaiły nas dotąd.

O zrzeczeniu się przez margrabiego Wielopolskiego spadku po ś. p. Konstantym Świdzińskim pisma peryodyczne donosiły już; my więc tylko wraz z innymi cieszymy się nadzieją, że obowiązek jaki na siebie aktem publicznym przyjęli spadkobiercy, i jaki nakłada na nich moralne przekonanie o zamiarach ś. p. ich krewnego, święcie spełnioném zostanie.

W Teatrze Rozmaitości komedya tłumaczona z francuzkiego *Żony płaczące*, ożywiona dobrą grą artystów, a mianowicie niezrównanym humorem p. Żółkowskiego, przychylne zyskała przyjęcie.

W cyrku we środę odbył się wielki koncert. Wszystkie miejsca były zapełnione. Dwoma punktami kulminacyjnemi téj uroczystości muzycznéj były: gra p. Kalergis i wystąpienie p. Lotto, młodego skrzypka, rodem z Warszawy, świéżo przybyłego z Paryża. Oddanie wieńca który pani K* otrzymała w darze jako hołd wdzięczności za tak chętny i skuteczny współudział w téj sprawie ogół obchodzącéj, wywołało objawy silnego współczucia, w całéj licznéj publiczności zgromadzonéj w cyrku.

Korzystamy zarazem ze sposobności, żeby zapewnić czytelników, że Kuryer warszawski nie otrzymał *żadnego upoważnienia* do zaprzeczenia wiadomości podanéj przez nas o podróży artystycznéj pani K* wraz z gronem dobranych amatorów po miastach prowincyonalnych królestwa. Zamiar téj podróży, pomimo zaprzeczenia Kuryera, trwa niewzruszenie, z tą tylko różnicą, że do grona wspomnianych amatorów zaliczyć wypada nie panią Z**, jak u nas mylnie złożono, ale znanych z pięknego talentu do śpiewu pp. Władysława i Tomasza Z*, z których, zwłaszcza ostatni dał się już wielokrotnie pochlebnie poznać tutaj w publicznych wystąpieniach. Zamiar ten nie uwłacza w żadnym razie szanownym amatorom, owszem zaszczytnym jest tak dla nich, jak i dla téj, która go piérwsza powzięła, a dla zakładu muzycznego hojne zapewne przyniesie korzyści. Sądzimy że Kuryer, cofając swoje *zaprzeczenie z upoważnienia*, dowiedzie, że i on to ocenić potrafił i że jest przyjacielem prawdy.

Ale... byłbym naprawdę zapomniał. Co to jest natura ludzka, o lada plotce pamiętać łatwo, ale dobry uczynek, to się zapomni jak nic. A jednak trzeba powiedzieć, bo to rzecz i ciekawa dla dam, i pożyteczna dla biednych, więc podwójne ma prawo do zamieszczenia jéj w kronice.

Owóż radzę wam czytelniczki, jeżeli znajdziecie chwilę wolnego czasu, wy, co tak jesteście zajęte, że zaledwie starczy wam chwila na przerzucenie téj mojéj gadaniny, idźcie i przejrzyjcie w zakładzie św. Marty wystawę różnych robót damskich i bielizny stołowéj, co wszystko, jak już o tém wiécie zapewne, ma tam być puszczone przez loteryą na korzyść zakładu. Dobre i użyteczne, a przedewszystkiém sumiennie obrobione znajdziecie tam rzeczy. Opisałbym wam to wszystko, ale niestety w sprawach tego rodzaju taki jestem nieuk, że nie umiem odróżnić kołnierzyka damskiego od chustki od nosa, a gorsetu od krynoliny. Więc z obawy wydania się z mojém barbarzyństwem wtym względzie, wolę wam samym sąd o tém zostawić. Zróbcie jak Pompejusz w wojnie z Tygranem armeńskim: przyjdźcie, zobaczcie i kupcie!

KOŚCIÓŁ OO. REFORMATÓW W SANDOMIERZU.

Skromna ta świątynia, na wzgórzu tuż za bramą opatowską w Sandomierzu istniejąca, powstała na pamiątkę szczęśliwego wyboru króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Gdy bowiem po złożeniu korony przez Jana Kaźmirza, Polska przez licznych kandydatów do tronu i ich stronnictwa była zamięszaną, sandomierskie województwo najskuteczniéj przyłożyło się do ostatecznéj decyzyi, głośno odzywając się, jak malowniczo opisuje Pasek: „Nie trzeba nam daleko szukać króla, mamy go pomiędzy sobą; alboż niegodzien książe Michał korony?“ Zaś jeden z posłów, Michał Dębicki, podkomorzy sandomierski, piérwszy krzyknął wyrzucając czapkę w górę: „Wiwat Piast! Wiwat król Michał!“ czém pobudził i inne województwa do jednozgodnego obrania pomienionego monarchy. Otóż na podziękowanie Bogu za to pomyślne zdarzenie, zaraz na polu elekcyjném było postanowione wznieść nowy kościół w głównem mieście tegoż województwa. Jakoż wnet po powrocie w r. 1672 na placu ofiarowanym od książęcia Aleksandra Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, wspólnie z Piotrem Opackim, kasztelanem wiślickim i Janem Kurdwanowskim, sędzią grodzkim sandomierskim, rozpoczęto budowlę kościoła pod wezwaniem św. Józefa, i ten oo. reformatom oddano. Ułatwiła to jeszcze i ta okoliczność, iż gdy ustawą sejmową poleconém zostało rozebranie starożytnego zamku w Zawichoście, odległych sięgającego wieków, który zniszczony podczas piérwszéj wojny szwedzkiéj, nie mógł już służyć do innego użytku, materyały z niego przeznaczono na wystawienie tego nowego przybytku pańskiego. Z tém wszystkiém jest to mały kościołek, o jednéj kopule, z cmentarzem staremi drzewami wysadzonym i obszernym ogrodem naokoło murem opasanym. Na tym cmentarzu w murze są kapliczki, w których się mieszczą stacye męki pańskiéj pięknie olejno malowane, pędzla biegłego artysty krakowskiego, Wojciecha Eliasza. Szczególnie dobrze wykonane są obrazy przedstawiające Chrystusa Pana przed sądem Piłata, Pan Jezus upadający pod krzyżem, ukoronowanie cierniową koroną i ukrzyżowanie. Zresztą kościół w zewnętrznéj swojéj budowie niczém się nie odznacza, wewnątrz zaś, jak inne tego zakonu, tylko prostotą i czystością się zaleca. Ma siedm drewnianych ołtarzy, sześć bocznych mniejszych, a jeden wielki, w którym Pan Jezus ukrzyżowany. Jest w nim kilka nagrobków, pomiędzy któremi po prawéj stronie, idąc ku wielkiemu ołtarzowi, wielki marmurowy pomnik, poświęcony pamięci Jana Zakliki z Czyżowa Czyżowskiego, kasztelana połanieckiego, ostatniego tego znakomitego rodu potomka, przez niego samego za życia wystawiony. Mieści on obszerny łaciński napis, historyą całéj familii zawierający, w którym zostawiono miejsce na datę jego śmierci, lecz

po nastąpionym zgonie nikt jéj nie dopełnił, i dotąd jest próżne. A przecież była to piękna postać w dziejach krajowych; mąż wielkiéj cnoty i pobożności. Naprzeciw niego po prawéj stronie dwie ogromne tablice marmurowe, z podobnemiż napisami, wskazują miejsce ostatniego spoczynku członków rodziny Kaźmirza ze Skrzynna Dunina Karwickiego, miecznika sandomierskiego, zmarłych w piérwszéj połowie zeszłego stulecia.

Najciekawszym jest atoli pomnik, na którym, na wielkim marmurowym kamieniu, było opisane życie Teressy Izabelli Morsztynówny, córki Stanisława z Raciborska, wojewody sandomiérskiego, urodzonéj w roku 1680 a zmarłéj w r. 1698; lecz pomnik ten, gdy kościół w roku 1809 podczas oblężenia Sandomiérza przez Austryaków zaczął gorzéć, tak dalece od ognia został uszkodzony, że oprócz kilku głosek nic na marmurze wyczytać nie można. Akta tylko klasztorne zachowały o niéj następne szczegóły: Teressa Morsztynówna była to rzadkiéj piękności dziewica; zaledwie doszła do wiosny swego życia, już w całym kraju polskim słynęła z wielkiéj nauki, pobożności, skromności, tudzież licznych przymiotów serca i duszy. Biegłą była w różnych językach nietylko nowożytnych ale nawet starożytnych, a przytém dziwnie wymowna i taką bystrością pojęcia obdarzona, że zdawało się jakoby nie było nauki, któréjby nie posiadała. Rozumié się że tyle przymiotów w pięknéj i bogatéj pannie, zwróciło na nią oczy mnóstwa wielbicieli, a synowie najmożniejszych w kraju rodzin starali się o jéj rękę. Sława jéj urody i nadzwyczajnego rozumu doszła była nawet do wiadomości jednego monarchy, (szkoda że współczesny biograf klasztorny nie wymienił jakiego) który wszelkich używał sposobów, aby skłonić dla siebie serce téj dziwnéj istoty. Ale nasza wojewodzianka usuwała zaloty każdego bez różnicy, oświadczając wszystkim, że za mąż pójść nigdy nie myśli, postanowiwszy poświęcić się chwale Boskiéj i naukom, które tylko jedne wyłącznie na świecie umiłowała. I zostając ciągle w domu rodziców, pędziła bogobojne i cnotliwe życie, dzieląc czas swój na modlitwę, miłosierne uczynki i czytanie oraz zagłębianie się w najcelniejszych dziełach greckich i rzymskich, z któremi nad wiek swój doskonale była obeznaną. Niedługo jednak żyła ta szczególna dziewica, doszedłszy bowiem zaledwie 18 lat wieku, z powszechnym żalem rodziny i nieszczęśliwych, zmarła w Sandomiérzu, pochowana w grobach tutejszego kościoła; a chociaż 162 lat mija, ciało jéj dotychczas w całości i nienaruszone się utrzymuje, i zdaje się jakby niedawno tu złożone zostało: twarz jeszcze piękna, włosy koloru blado złotego, tak jak u żyjącego człowieka, kryzy na szyi, szlafrok na przodzie otwierany i sukknia z grubéj, ciężkie materyi w pasy, trzewiki na wysokich korkach, rękawiczki, wszystko to nie uległo żadnemu zepsuciu ani swéj barwy nie straciło. Teressa złożona była przez rodziców w daleko kosztowniejszéj trumnie od téj jaką dziś widziéć można, lecz gdy tamta spruchniała, przełożono ją w teraźniejszą w r. 1742, w któréj każdy za pozwoleniem miejscowego gwardyana jako osobliwość oglądać ją może. W trumnie znajduje się blacha z napisem: „Teressa Izabella Morsztynówna panna, wojewody mazowieckiego, potém sandomirskiego córka, roku 1698 umarła.“ Tu pochowanych jest także wiele innych znakomitych osób, a pomiędzy temi i jéj ojciec, wojewoda Stanisław Morsztyn, znakomity rycerz za czasów panowania króla Jana III Sobieskiego, który pod Cudnowem i Chocimem walcząc, przy boku króla był raniony, a pod Żórawnem i Strygoniem najwięcéj do odniesionego zwycięztwa się przyłożył. Daléj ksiądz Marcelin Morsztyn reformat, z téjże rodziny pochodzący, a równie pobożnością i naukami słynący.

KOŚCIÓŁ OO. REFORMATÓW W SANDOMIERZU.
Rysował z natury Petzold, rytował Hählej w drzeworytni Tygodnika.

Nakoniec do klasztoru reformatów sandomiérskich przywiązaną jest jeszcze pamięć sławnego missyonarza Adama Prospera Burzyńskiego, który w naszych czasach dziwnym i niespodziewanym sposobem z skromnego zakonnika został biskupem tutejszéj dyecezyi. Ksiądz Prosper około r. 1768, odebrawszy święcenie kapłańskie w Sandomiérzu, natchniony silną wiarą i gorliwością szerzenia religii chrześciańskiéj, udał się do Rzymu, wstąpił do kollegium *de propaganda fide*, gdzie nauczywszy się z łatwością kilku wschodnich języków i obeznawszy ze sztuką lekarską, wysłany ztamtąd został dla nawracania niewiernych w Azyi a potém w Afryce. Tam uchodząc za doktora medy-

WIERZBA.
Skomponował i rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

cyny, przebrany po muzułmańsku, z długą poważną brodą, wkrótce zjednał sobie powszechny szacunek i wziętość niepospolitą. W roku 1798, kiedy Francuzi zdobyli Egipt, zakonnik nasz, opatrując rannych po bitwie pod Piramidami, dał się poznać generałowi Zajączkowi, ten zaś zniewolił go aby się przyłączył do armii Napoleona jako doktór i tłumacz. Na tém stanowisku w wielu ważnych okolicznościach używany, oddał liczne przysługi francuzkiéj wyprawie, zostając przy niéj aż do bitwy pod Akrą, poczém znowu wrócił do pracy missyonarskiéj i przebywał w Syryi aż do roku 1815. W tym czasie zapragnął widzieć ziemię rodzinną, mając przytém zamiar wyszukać sobie równie jak sam gorliwego do dalszych czynności pomocnika. Jakoż znalazł pomiędzy reformatami sandomiérskiemi człowieka po temu i uprosiwszy go sobie u zwierzchności, chciał napowrót z nim na wschód się udać. Przybył więc w celu uzyskania paszportów do Warszawy. Szczególnym trafem, przechodząc przez plac saski, spotkał się znowu z generałem Zajączkiem, już wtedy namiestnikiem królestwa, który poznawszy dawnego przyjaciela, namówił go do zaniechania przedsięwzięcia, a następnie wyjednał sekularyzacyą i nominacyą na biskupa sandomiérskiego. Ksiądz Burzyński, zostawszy arcykapłanem, nosił na pamiątkę do śmierci długą piękną brodę, co przy wspaniałéj postaci i okazałéj twarzy nadawało mu szczególną powagę, wzbudzając we wszystkich cześć i uszanowanie. W zarządzie téż dyecezyą odznaczał się nadzwyczajną gorliwością, a w przestrzeganiu wypełniania obowiązków był niesłychanie surowy. Umarł ten znakomity biskup w r. 1830. Piękny wizerunek jego, rytowany na miedzi przez ś. p. J. F. Piwarskiego, znajduje się w *Kramie malowniczym* tego nieodżałowanego artysty.

WIERZBA.

Nad strumieniem, na łące,
Stoi stara wierzbina;
Drzewo krzywo rosnące
Pień ku wodzie wygina.

Ród jéj w boru wyklęty,
Lecz w nizinach szczęśliwy.
Przy niéj krzaki i pręty
Smagłéj witwy i iwy.(*)

Kmieć się na nie nie żali,
Lubi wierzbę z plemienia;
Bo mu łąkę ocali
Od rwącego strumienia.

Kosze z witek uplecie,
I kolébkę synowi,
A gdy zimno na świecie,
Stare wierzby ogłowi.

Ledwo wiosna wesoła
Rzuci na świat wzrok słodki,
Już się wierzba dokoła
Stroi w pączki i kotki.

Ejże! pójdzie was wiele,
Wy gałązki, za młodu,
Na palmową niedzielę,
Dla wiernego narodu.

Przyjdzie potém chłopczyna,
Smętny śpiewak wioskowy,
I piosenkę zaczyna
Na fujarce wierzbowéj.

Gra i marzy o trosce,
O swéj lubéj, o ziemi,
A tu echo po wiosce
Płynie łzami rzewnemi...

I zachmurzą się starce
Widmem własnych pamiątek,
I zapłaczą w fujarce
Serca młodych dziewcząteк.

Lecz pieśń padnie w dąbrowy,
Aż oddźwięknie ku Wiśle...
I jak klejnot ludowy,
Zalśni w ziomków umyśle.

Edmund Znatowicz.

(*) *Iwa* (salix caprea), gatunek wierzby, zwany także *iwina*.

HULANKA W SĄDZIE.
Skomponował i rysował Lewicki, rytował Drażkiewicz w Warszawie.

HULANKA W SĄDZIE.

Nie ubliżam obcym narodowościom, ani śmiem stawić naszego lackiego plemienia wyżéj od innych potężnych i oświeconych plemion, ale doznaję pociechy w sercu, kiedy w dawném lub obecném pożyciu naszém towarzyskiém upatruję jakie znamiona wyższości moralnéj, które się nie zawsze między cudzoziemskiemi społecznościami spotykają.

Do pięknych i poczciwych przymiotów ojców naszych, które się jeszcze przechowały dotąd między nami, liczyć należy duch obywatelski, panujący między mieszkańcami jednéj okolicy, zwykle dawnemi historycznemi granicami oznaczonéj, pobratanemi tożsamością rodu, pochodzenia, wyobrażeń, uczuć i nawet przesądów tradycyjnych; duch trudny do opisania, którym się łatwiéj przejąć jak go pojąć, łatwiéj go czuć jak wyrazić, o którym trudno wyrzec kiedy i jak powstał, jak i dlaczego się między ludźmi utrzymuje.

Jestto władza moralna, któréj nikt nie postanowił,

a któréj wszyscy ulegają, która nagradza zacnych, karci niecnych, wyklucza i potępia niegodziwych. Jéj nagroda nie jest ani tytułem, ani znakiem, ani datkiem, a jednak bywa bardzo pożądaną, zarówno jak kara jéj dotkliwą.

Pokłon uszanowania, ustąpienie z drogi przed poważanym, spojrzenie z wyrazem uwielbienia, ściśnienie ręki i czasem wyraz prawdy uznający zasługę, oto są nagrody doczesne zacnych, którzy, jeżeli wytrwają w dobrem, mogą osiągnąć najwyższą nagrodę pośmiertną: dobre imię u potomnych. Zejście z drogi, aby się z niecnym nie spotkać, odwrócenie oczu lub pogardliwe spojrzenie, usunięcie ręki, aby podanéj nie uścisnąć, czasem wyraz wzgardy lub poniżenia w odpowiedzi dany, oto są kary doczesne przez owę moralną władzę wymierzane na niegodnych szacunku, którzy przy wytrwaniu w niegodności mogą dojść do tego, iż duch obywatelski ich imię pogardzie potomnych przekaże.

Aby osiągnąć najwyższy szczebel chwały lub potępienia, trzeba być wyniesionym lub poniżonym przez duch obywatelski całego narodu, a na to trzeba być szczytnym w cnocie lub niecnocie. Ale w mniejszych kółkach obywatelskich, w starodawnych okręgach ziemi, można zasłużyć sobie w obywatelstwie albo na wziętość i szacunek, albo na wstręt i złe imię. Między tymi co piérwsze osiągnąć zdołali, są jeszcze zwykle tacy, lub między wszystkiemi jeden taki, który jest ulubieńcem obywatelstwa, którego słowu więcéj zawierzają jak innych pismu, którego zdanie jest sądem lub wyrocznią, któremu wolno jest strofować i karcić, dlatego że nim nigdy gniéw ani osobistość nie powoduje, którego wszyscy kochają i przeciw któremu osobiści nawet nieprzyjaciele jawnie występować nie śmią. Taki jest pocieszycielem strapionych, doradcą uciśnionych, jałmużnikiem niedostatkiem dotkniętych, sędzią spór wiodących, pojednawcą zwaśnionych i wyrokującym w sprawach honorowych.

Gdzie się jeszcze egoizm cudzoziemski na duszach polskich zaszczepić nie dał, lub gdzie zaszczepiony nie przyjął się, tam panuje przewaga ducha obywatelskiego, tam mają okolice swoich wybrańców i ulubieńców, którzy moralno-patryarchalną władzę nad współobywatelami piastują. A jeżeli tak jest jeszcze dzisiaj, to nie skutkiem przykładu cudzoziemców, lecz za wpływem moralnym przodków naszych, i dlatego, że tradycya poczciwych natchnień, pomimo wpływu cudzoziemskiego, między nami przechować się zdołała.

Spostrzegam się że zbyt poważny napisałem wstęp do drobnéj powiastki, w któréj mam wspomnieć o żarcie jednego z takich ulubieńców obywatelstwa. Ale nie zmienię wstępu, bo jest w nim pociecha ze wspomnienia na to, co było a co jeszcze zupełnie nie zaginęło.

Owóż tedy w końcu i na początku tego wieku, żył w Kujawach kasztelan Zakrzewski, ulubieniec całego obywatelstwa. Zakrzewski ani z urzędowego powołania, ani z wyboru, lecz z opinii najwyższą moralną władzę w okolicy swojéj piastował i był prawdziwym reprezentantem ducha obywatelskiego ziemi inowrocławskiéj. Nie było ślubu w szlacheckich familiach, gdzieby sobie kasztelana na dziewosłęba, lub przynajmniej na odprowadzającego pannę młodą od ołtarza nie życzono. Na setki liczył dzieci które do chrztu trzymał. Młodzieńcy z téj okolicy, którzy w świat wchodzili, zaczynali to piérwsze wystąpienie swoje od przedstawienia się w domu kasztelana. Gdzie jaka uraza lub nieporozumienie domy zwaśniło, tam kasztelan ze słowami pokoju i zgody pośredniczył, i podaniem nawzajem dłoni lub uściskiem serdecznym zwaśnionych, dobre porozumienie między niemi przywracał. W każdym ważniejszym kompromisie musiał być superarbitrem, a gdy on spór rozstrzygnął, nie było już ani powodu, ani możności odwołania się do sądowéj rozprawy.

Na jeden taki kompromis zjechały się strony do Bydgoszczy, z postanowieniem zdania się na sąd kasztelana, aby sprawy nie wnieść przed kratki nowozaprowadzonéj regencyi pruskiéj i nie zdawać się na justicyaryuszów niemieckich, miejsce dawnéj palestry zajmujących. Gorliwiéj jeszcze jak przedtém zajmował się kasztelan wówczas załatwieniem sporów i sądzeniem spraw współobywateli, bo im nieustannie powtarzał: „Panowie bracia, gódźcie się na miłość Boską, abyście się na tę sromotę nie narażali, iżby was Niemiec sądził.“

Kompromis był już rozsądzony, ferowany dekret odbierał ostateczną sankcyą na obiedzie przez kasztelana dla pojednanych wyprawionym, a kolejne kielichy za zdrowie superarbitra i gospodarza, sędziów, stron, ich żon, córek i kolligacyi gruntowały coraz mocniéj zgodę obywatelską, osłabiając przytém głowy sędziów i sądzonych.

Po wyczerpaniu przedmiotów prawnych i powodów do pojednania rodzin spór wiodących, wyprowadzonych z zacności ich rodzin i kolligacyi, zajęli się biesiadujący teraźniejszym, powszechność obchodzącym przedmiotem, bo losem niedawno pod obce panowanie przeszłego kraju. Nastąpiły żywe rozprawy nad tém co trzeba było, a czego nie trzeba było czynić; nad postępowaniem ziomków którzy wpływali na sprawy pospolite; ubolewania nad losem znakomitych wojowników, tak iż koło goszczących, którzy powstawszy od stołu z kieliszkiem w ręku najdotkliwsze żale rozpościerali, nakoniec głośno płakać poczęło, a każdy z płaczących inny powód żalu wynurzał.

— E, co tam, zawołał kasztelan, dajcie pokój tym trenom, panowie moi. Lamentacye na nic się nie przydadzą; owszém, nie trzeba dać poznać Niemcom żeśmy na duchu upadli. Nie są oni ani srodzy, ani tacy straszni, abyśmy ich ugłaskać nie umieli; trzeba się tylko oswoić z niemi, i jakimbądź sposobem, byleby nie podłością, zapewnić sobie ich względne obchodzenie się z nami.

— No to prawda, odrzekł jeden z obecnych. Prusacy ani srodzy, ani nieprzystępni, ale niewiedzieć jak z niemi sobie poczynać; niéma w nich żadnego obywatelskiego ducha, ani wylania serca. No bo proszę państwa, czy kto z was widział kiedy Prusaka pijanego?

— Otóż to właśnie, dodał drugi. Choć go poczęstujesz winem, wypije jeden kieliszek i kłania się, dziękuje, a drugiego nalać nie pozwoli. No i jakże tu zrobić jaki interes, w którym idzie oto, aby przy kieliszku, przez respekt i konsyderacyą dla gospodarza coś załatwić?

— Nie taki diabeł czarny jak go malują, odpowiedział kasztelan. Dadzą się i Niemcy z czasem przekabacić. *Est modus in rebus.* Naszą jest rzeczą oswoić ich z naszym obyczajem. Nie będziemyć my nigdy z niemi bardzo się bratać, aleć ich musimy nauczyć wziąć kieliszek do ręki i nie odmówić kolejnego, gdy się do którego z nich wypije.

— Tego pan kasztelan nie dokaże, nie, rzekł poprzedni gość. Ja już próbowałem różnym sposobem z nimi, i zawsze się sam upiłem, kiedy pruski *Rath* jeszcze piérwsze kieliszki cedził.

— Co, nie dokażę? odparł żywo kasztelan, poczytując te wyrazy sąsiada za powątpiewanie o jego powadze i przemocy. Otóż wam dziś jeszcze dam dowód że można Niemca spoić, i to nie jednego, tylko kilku razem, nie na uczcie i przy stole, ale w izbie rządowéj i na ławkach sądowych. Héj! trzy kosze wina, klarynety i cała muzyka naprzód! Kto mnie kocha, to pójdzie za mną, i zobaczymy!

Niebawem uszykował się pochód hulacki na wyprawę wojenną przez kasztelana zapowiedzianą. Hoboiści z pułku pruskiego do przygrywania wiwatów najęci, uszykowani zostali przez jedynego trzeźwego kamerdynera kasztelańskiego, i otwierali pochód równie fałszywe stawiając kroki, jak wydmuchiwali tony na swoich dętych instrumentach. Za niemi szło sześciu służących parami, każda para niosąc dobrze opatrzony kosz wina. Daléj kasztelan, wraz ze wszystkiemi gośćmi swemi, po większéj części w kontuszach, przy karabelach, z czapkami na bakier i junacko włożonemi, trzymając się nawzajem pod ręce, wspierając w potrzebie i wtórując, każdy inaczéj, marsz przez hoboistów grany.

Tak przeszli dwie ulice, otoczeni coraz liczniejszym tłumem mieszkańców przez ciekawość z domu wywabianych, i stanęli w sile przed domem, w którym regencya właśnie sądzeniem sprawy zajętą była.

Na odgłos muzyki i zgiełk z ulicy słyszany, porwali się z miejsc swoich prezydent i wszyscy sędziowie, okazując zadziwione i przerażone twarze swoje za szybami. Kasztelan, jako zawsze grzeczny i względny, nawet gdy wojnę wypowiadał, kazał się wszystkim zatrzymać przed domem, uciszyć się muzyce, powściągnąć wszelkie okrzyki, i za przyzwoite uznał wysłać do pana prezydenta regencyi parlamentarza, z oświadczeniem: iż pan kasztelan Zakrzewski uprasza pana prezydenta, aby mu dozwolił wejść do izby sądowéj, wraz z całą kompanią swoją, w zamiarze oddania panu prezydentowi i całéj regencyi hołdu uszanowania, jaki im się od niego i od zgromadzonych współobywateli kujawskich należy.

Zatrwożona zrazu regencya, uspokoiła się wprawdzie słysząc pełne uszanowania oświadczenie kasztelana, lecz prezydent odpowiedział na nie: iż lubo w każdym innym razie byłby bardzo rad przyjąć wizytę pana kasztelana i jego kompanii, teraz wszakże i w tém miejscu urzędowém, nie jest w możności dopuścić do siebie łaskawych gości, bo mu na to jego obowiązki służbowe i sama powaga magistratury sądowéj nie pozwalają.

Taką dawszy odpowiedź wysłanemu parlamentarzowi, kazał prezydent zamknąć drzwi na klucz, po wyjściu jego z sali sądowéj.

Otrzymawszy odmowną odpowiedź, kasztelan nie poprzestał na niéj, lecz wysłał drugiego parlamentarza, który już tylko przez drzwi zamknięte oświadczył prezydentowi:

„Że pan kasztelan nie chciałby zapewne przerywać ważnych rozpraw prześwietnéj regencyi, gdyby mógł przewidzieć iż kiedykolwiek znajdzie inną chwilę stosowniejszą, w któréjby mógł wraz z obywatelstwem złożyć swoje uszanowanie panu prezydentowi i całéj magistraturze; ale ponieważ się nie trafi już łatwo podobna dzisiejszéj okoliczność, która tylu obywateli do Bydgoszczy ściągnęła, więc najuprzejmiéj uprasza pana prezydenta, aby mu dozwolił dokonać swego zamiaru i aby kazał drzwi otworzyć, gdyżby nie chciał się postawić w konieczności przepraszania go za to, że też drzwi wysadzi, jeżeli dobrowolnie otworzone nie zostaną.

Gdy się regencya naradzała nad odpowiedzią jakąby należało udzielić na to drugie wezwanie, weszła już była do sieni cała kompania i przez ciekawość lub niecierpliwość tak się tłoczyła do samych drzwi, że te, bez wyraźnego zamiaru oblegających, ustąpiły pod ich parciem i dały wstęp nieproszonym gościom, którzy ustąpiwszy na dwie strony, otworzyli miejsce dla kasztelana, aby jako dowódzca mógł wykonać dalsze kroki zaczepne.

Ten zaś, wystąpiwszy naprzód i naprzeciw krzesłu prezydenta, odezwał się do niego w te słowa:

— Jaśnie wielmożny prezydencie! Zaprawdę, nie nasza to wina, że drzwi tego przybytku sprawiedliwości nie okazały się być tak mocnemi, jak gorąca chęć nasza złożenia jw. prezydentowi dowodów naszego szacunku i poważania, i że zebrani obywatele, oczekując za temi drzwiami na łaskawe przypuszczenie, mimowolnie wtłoczeni zostali do téj izby. Przepraszając jw. prezydenta za to niespodziane otworzenie drzwi zamkniętych, przedsięwziąłem stosowne środki, aby je od drugiego takiego tłoczenia od zewnątrz zabezpieczyć, i kazawszy je zamknąć, poleciłem obstawić je mocno strażą wewnątrz i zewnątrz, ażeby nikt obcy nie przerwał ważnego i zajmującego posiedzenia, jakie wraz z całą prześwietną regencyą odbyć pragniemy.

Na tę grzeczną przemowę odpowiedział prezydent częścią po niemiecku, częścią niemiecką polszczyzną, i upraszał najpokorniéj o ustąpienie z izby sądowéj, lub przynajmniéj o krótkie przedstawienie interesu, jakiby ci panowie do regencyi miéć mogli.

— Starać się będziemy załatwić rzecz całą tak krótko, jak tylko być może, odrzekł kasztelan. Ale zależéć to będzie od tego, aby jw. prezydent i szanowni sędziowie w wydaniu decyzyi żadnéj nie dopuszczali zwłoki.

To rzekłszy, wziął do rąk wiwatowy kielich, poważnych rozmiarów, i rzekł:

— Do jw. pana, panie podkomorzy! Spełnijmy szanowne zdrowie jw. prezydenta.

Gdy go wypił i dalszéj oddał kolei, prezydent podniósł się z miejsca, kłaniał się i mówił, ale klarynety głos jego zupełnie przytłumiły, tak iż się tylko można było domyślać po poruszeniu ust że coś mówi.

Po obejściu kolei, odebrał kasztelan kielich, kazał go napełnić po brzegi, z uprzejmym ukłonem zbliżył się do stołu, postawił go przed prezydentem i dodał:

— Stawiając przed jw. prezydentem ten gościnny kielich, mam niepłonną nadzieję że jw. pan nie zechcesz go zostawić nietykanym przed sobą, i że raczysz uwzględnić to, iż kiedy my z uszanowaniem zdrowie jego spełniliśmy, jw. pan powinieneś podziękować nam za to.

— O, dziękuję, bardzo pięknie dziękuję! rzekł prezydent. Ale wina tego żadnym sposobem wypić nie mogę, gdyż to przechodzi siły ludzkie.

— Jw. prezydencie! kiedy ja i wszyscy tu przytomni spełnili ten kielich do dna, dowodem to że to nie przechodzi sił ludzkich. Niech jw. pan tylko spróbuje.

— Nie, nie, tego nie potrafię! odrzekł prezydent i usiadł na krześle.

— Jw. pan chcesz uspokoić się z doznanéj emocyi; nic słuszniejszego. Niéma nic pilnego, możemy poczekać. To mówiąc usiadł na ławce pod ścianą i zaprosił wszystkich swych gości, aby jak mogli zajęli miejsca siedzące w izbie.

— Ale ja nie potrzebuję uspokoić się, bo ja dzisiaj takiego kielicha nie wypiję.

— To my poczekamy, choćby do jutra, bośmy już sobie tak postanowili, aby koniecznie uczcić godność jw. pana, i zamierzamy prócz tego spełnić jeszcze wiele innych toastów, jak tylko wypróżniony kielich z rąk jw. pana odbierzemy. Jak powiadam, załatwienie posiedzenia naszego zależy od jw. prezydenta.

Ten zaś siedzi, patrzy się to na kasztelana, to na wiwatowy kielich, a ile razy chce się odezwać, klarynety pokrywają głos jego. Nakoniec powstaje i kłania się; towarzystwo kasztelana wstaje także.

— *Vivat kasztelan!* zawołał, wypił kielich do połowy i usiadł; kasztelan i goście jego siadają także. Prezydent chce zwrócić kielich.

— To być nie może, odpowiada kasztelan. Niewypróżniony kielich byłby dowodem, że nam jw. pan dobrze nie życzy. My takiego kielicha z rąk jego przyjąć nie możemy.

Po chwili namysłu, dokończył prezydent kielicha i zwraca go; ale zamiast odebrania, napełniają go na nowo i piérwszemu z kolei sędziemu podają, tłumacząc: iż poważanie obywatelstwa wymaga tego koniecznie, ażeby wszyscy członkowie regencyi obywatelskie zdrowie spełnili. Jedni ulegając konieczności, drudzy bez przymusu, spełnili, i to duszkiem, zdrowie tak wielkim kielichem, że wszyscy po krótkiéj chwili mieli rumieniec na twarzy, a uśmiéch na ustach.

Gdy po skończonéj kolei zabierali się do opuszczenia izby i sądzili że oblegający ich przyjaciele także ustąpią z miejsca, wniósł kasztelan drugie zdrowie: całéj regencyi *in corpore*, zastrzegając sobie w dalszym ciągu spełnienie pojedynczo zdrowia każdego jéj członka. Kielich wiwatowy podano długi, wysmukły, który się zdawał mniejszym od piérwszego. Obszedł kolej polską i niemiecką mniéj trudno od piérwszego; ale po jego spełnieniu nikt już nie myślał o opuszczeniu izby. Trzeci spełniono z pewném wylaniem uczuć i z takiém połączeniem się całéj kompanii, że już nie rozróżniano dwóch obozów; ale po tym toaście nie można już było dojść do zdrowia trzeciego członka regencyi. Żaden z Niemców nie myślał i nie mógł nawet opuścić przybytku sprawiedliwości, bo wszyscy zalegli jak pozabijani te miejsca, na których przed godziną sądzili i skazywali.

Gdy pobojowisko pełne było pokonanych, spojrzał na nich z tryumfującą miną kasztelan, poprawił czapki na głowie i rzekł do swoich: *Veni, vidi et vici!* I za przewodem coraz fałszywszych klarynetów i próżnych po winie koszów, coraz silniéj nawzajem trzymając się za ręce, w najkrzywszych gzygzakach po ulicy zakreślanych, wróciła cała kompania do mieszkania kasztelana, obchodzić jego tryumf i szukać gdzie można spoczynku po ciężkim znoju.

Fryd. hr Skarbek.

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA
W KRAKOWIE.

W tym starożytnym Piastów i Jagiełłów grodzie gdzie za każdym krokiem przedstawiają się wędrowcowi pomniki świetniejszéj przeszłości, biblioteka wszechnicy jagiellońskiéj zasługuje ze wszech miar na baczniejszą uwagę. Budynek gdzie się mieści biblioteka, dawniéj zwany kollegium wyższe „collegium majus,“ powstał z połączenia kilku domów zbudowanych po większéj części w XV i XVI wieku, a dawno już zagrażających upadkiem. Piętnaście lat temu jak, jeszcze za istnienia ówczesnéj rzeczypospolitéj krakowskiéj, odbudowanie biblioteki rozpoczęto; część jéj boczna, wychodząca na ulicę naz aną dziś jagiellońską i na wewnątrz stykająca się z nią ściana między dziedzińcem a ogrodem, są od dwóch lat zupełnie ukończone, ale połowa druga lepszych zdaje się oczekiwać czasów, by z gruntu odnowioną być mogła.

Przy odbudowaniu piérwszéj połowy starano się naśladować styl epoki, w któréj dawne domy wzniesionemi były: jest to mięszanina stylu średniowiecznego z stylem odrodzenia, i widok téj części od strony ulicy jagiellońskiéj dosyć się wspaniale przedstawia. Wysokie okna prostokątne, poprzedzielane słupkami kamiennemi, kolorowém szkłem opatrzone, nad któremi są okrągłe w kształcie róży okienka, spiczaste wreszcie szczyty z różnemi kamiennemi ozdobami, nadają téj budowli cechę starożytności. Część gmachu od strony ulicy św. Anny ma być z gruntu odbudowaną; tam jest główne wnijście do biblioteki, a stosownie do zamierzonego planu front ten ozdobą jéj będzie. Przechodząc przez sień sklepioną, widać na lewo za żelazną kratą posąg św. Jana Kantego, który tam wiele lat żywota pobożnego strawił. Urodził się w Kętach r. 1397, odbywał nauki w głównéj szkole krakowskiéj, wznowionéj i przywilejami opatrzonéj r. 1400 przez Jagiełłę; został w niéj potém professorem pisma świętego, kilkakrotne pielgrzymki odbywał do Rzymu, a jednę do Jerozolimy, i pełen życia świątobliwego umarł w tém samém mieszkaniu r. 1473. Akadmeia krakowska wzniosła mu ołtarz i pomnik wspaniały w kościele św. Anny, a Papież Klemens XIII r. 1767 w poczet go świętych uroczyście policzył. U progu drzwi świętego niéma dnia w którymby nie napotkać pobożnych wznoszących modły do patrona Polski. Z przeciwnéj strony jest mała i ciemna kapliczka Najświętszéj panny, gdzie św. Jan Kanty zwykł był modlitwy swoje odprawiać. Dziedziniec otoczony jest arkadami, dolne mieszkania zajęte przez pedelów uniwersytetu i bibliotecznych, wyjąwszy jednéj części próżnéj dziś, a przeznaczonéj na muzeum starożytności. Z dziedzińca widać ponad wysokiém oknem pierwszego piętra płaskorzeźbę przedstawiającą biskupa w pontyfikalnym stroju, trzymającego w ręku domek z wieżycami, który ofiaruje Matce Boskiéj. Płaskorzeźba ta pochodzi z Bursy jerozolimskiéj, dziś w ruinach będącéj, a założonéj i funduszami opatrzonéj w XV wieku przez Kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego, doradzcę królów Jagiełły i Kaźmirza jego syna. Dwoje drzwi, których piękne oprawy kamienne pozostały jeszcze z XVI wieku, prowadzą jedne do sal biblioteki, drugie do kancellaryi. W przysionku kancellaryi nad drzwiami spostrzegamy napis: *Non omnem hominem inducas in domum tuam, multae enim sunt insidiæ dolosi.* (Nie każdego człowieka wwódź do domu swego, albowiem wiele jest chytrości zdradliwego).

Dzięki uprzejmości bibliotekarza, dozwolono nam zwidzieć te skarby umysłu ludzkiego, przez wieki nagromadzone. Jeden tylko dzień w tygodniu przeznaczony jest dla zwidzających bibliotekę, ale taki bywa napływ gości, szczególniéj w pięknéj porze roku, że często ścisłe wykonywanie przepisów przekraczaném być musi. Po obu stronach kancellaryi rozchodzą się sale. Na prawo w niedawno odnowionéj części znajduje się czytelnia, sala dosyć obszerna, trzema wysokiemi oknami oświecona; z umieszczonych w niéj kilku obrazów jeden przedstawia wizerunek Jagiełły, dość dawnéj roboty, inny Zygmunta Starego, nadającego przywilej szlachectwa akademikom krakowskim r. 1535, utwór młodego artysty, ofiarowany przez niego bibliotece. Trzy sale za czytelnią zawierają dzieła teologiczne, filozofią scholastyczną i bibliografią, w wyższém zaś piętrze ponad kancellaryą umieszczonemi są prawo, nauki przyrodzone i geografia, wszystko to w obcych językach. W salach tych, świeżo odbudowanych, nowemi i dogodnemi szafami zaopatrzonych, najwięcéj względu miano na wygodę i dobre rozrządzenie miejscowością.

Całe jednak zajęcie podróżnego winno się zwrócić ku najdawniejszéj części biblioteki. Przechodzi się do niéj przez pracownię bibliotekarza. W pokoju tym, przedzielonym arkadami i starannie ozdobionym, znajduje się oprócz kilku szaf z katalogami, szafka z drzwiczkami przejrzystemi, gdzie są zamknięte trzy berła, z których jedno srébrne z koroną na końcu rzeźbioną i kilką herbami wzdłuż przyczepionemi, było legowane akademii przez Zbigniewa Oleśnickiego kardynała, w piérwszéj połowie piętnastego wieku. Drugie berło, srébrne pozłacane, należało do kardynała Fryderyka, brata Zygmunta Starego, którego piękny pomnik śpiżowy znajduje się przy stopniach wielkiego ołtarza na Wawelu. Trzecie berło, również srébrne, pozłacane, z kształtu i z pozoru najdawniejsze, przypuszczają iż było darowaném przez kardynała Maciejowskiego na początku XVII wieku. Przed temi to berłami na krzyż złożonemi kandydaci na doktorów. w wszechnicy jagiellońskiéj zwykli przysięgę składać w obec dziekanów, i professorów w dzień swéj inauguracyi; w dniach zaś uroczystych akademii noszone bywają przez pedelów uniwersyteckich, togami odzianych, w czasie pochodu wydziałów połączonych do kościoła św. Anny. W drugiéj szafie zawartym jest bogaty zbiór medalów, tyczących się najwięcéj historyi polskiéj i zbiór monet chronologicznie ułożony, począwszy od Chrobrego aż do ostatnich czasów. Medalów i monet jest razem 8058. Umieszczono tu także popiersie zmarłego przed rokiem bibliotekarza ś. p. Józefa Muczkowskiego, utworu Henryka Statlera, i portret poprzednika jego Samuela Bandtkiego, przez Hadziewicza. Wizerunki tych mężów przypominają uporczywą pracę i nadzwyczajną cierpliwość, którą posiadać musieli, by wydobyć bibliotekę z zamętu w jakim się znajdowała z początkiem tego wieku. Nie dokonali téj pracy zupełnie, ale dokończy jéj pewnie teraźniejszy bibliotekarz, pan Stroński, gdyż zajął się nią gorliwie, wsparty w téj ciężkiéj a zmudnéj robocie przez światłego kustosza biblioteki, p. Adolfa Mułkowskiego.

Pięknym zabytkiem XVI stulecia są drzwi przez które się wchodzi do starych sal bibliotecznych (*); pochodzą one ze zburzonego przed 40 laty ratusza, a taki na nich napis: *Ubi charitas et amor, ibi Deus est.* Piérwsze dwie sale biblioteczne są sklepione, zbudowane jeszcze w XVI wieku. Niegdyś książki należące do każdego wydziału osobno, były w zachowaniu u kilku professorów; żeby więc te pojedyncze biblioteki w jednę połączyć, Obiedziński professor teologii legował dla akademii pewną summę na zbudowanie tych sal, inni professorowie poszli za jego przykładem, a tak winniśmy je gorliwości samych akademików krakowskich. Przy odnawianiu wzmocnione zostały sklepienia przez wzniesienie z samego gruntu dwóch słupów podpierających trzy arkady, co znacznie te sale ozdobiło. Szafy dębowe przy ścianach stojące, z pięknemi u wierzchu ozdobami rzeźbionemi, wznoszą się aż do sklepienia.

W piérwszéj sali umieszczono wszystko, co najbardziéj obchodzić może wędrowca Polaka; cała historya i literatura polska jest tam zebrana. Jednym rzutem oka przebiega się dzieje krajowe, od piérwszego kronikarza Marcina Galla i piérwszych zawiązków historyi, aż do ostatnich pamiętników. Kilka tysięcy broszur i panegiryków z dwóch ostatnich wieków zalegają najwyższe pułki szafek. Herbarze i historyczne folianty są u spodu. W szafach od strony dziedzińca umieszczone są biblie i mszały, drukowane po większéj części w samych początkach XVI wieku w Krakowie. Kilka pułek tych szaf zapełnionych jest samemi dziełami dyssydentów polskich, a niezmiernie cenne to zabytki dla języka i literatury krajowéj. Prawodawstwo polskie w wielkich foliantach zabiéra wiele pułek dolnych, począwszy od statutu wiślickiego, aż do konstytucyi 1791 r. Umiejętności ścisłe, w Polsce uprawiane, kilka szafek zajmują: są tam dawne wydania Kopernika, Brosciusa; innych uczonych polskich dzieła od XVI wieku aż do dzisiaj dosyć licznie są przedstawione. Poeci polscy w jednéj się mieszczą szafie, wiele ich tam jednak brakuje; znakomitego na przykład wieszcza Zygmunta Krasińskiego ledwie 2 lub 3 dzieła się znajdują. W pośrodku sal umieszczone są szafy nizkie, z ozdobami rzeźbionemi i herbami uniwersytetu.

W piérwszéj zamknięte są rękopisy tyczące się historyi polskiéj w 300 woluminach. Tam się znajdują dwa egzemplarze historyi Długosza z wieku XVI; listy ręką Długosza pisane; kilka tomów tyczących się historyi Inflant i Siedmiogrodu, z biblioteki Zygmunta Augusta pochodzące; trzeci tom Tomicyanów; dziewięcio-tomowy zbiór pod imieniem Małachowskiego, zawierający pamiętniki, listy i wiérsze, od czasów Jana Kaźmirza, aż do końca XVIII wieku; prawo magdeburskie z XIV i XV wieku, na pergaminie, po łaci-

(*) Opis ich i dokładny rysunek na późniéj czytelnikom naszym przyrzekamy.

nie i po niemiecku; proces kanonizacyi św. Jana Kantego, w piętnastu grubych tomach zawarty; własnoręczne listy królów polskich, począwszy od Zygmunta Augusta do Stanisława Poniatowskiego; oraz wiele dyplomów. Jest tam także i poemat nieznajomego autora z XVII wieku, pod tytułem: „Oblężenie Częstochowy,“ dotąd jeszcze niewydany. Rękopisy in quarto, również jak in octavo, tymczasowo, dla braku miejsca, ułożone są w jednéj z sal; pomiędzy niemi widzieliśmy ośm egzemplarzy historyi Kadłubka, z komentarzami po bokach pisanemi przez professorów akademii w XV i XVI wieku, którzy nauczali historyi krajowéj podług tego autora.

W drugiéj podobnéj szafie, za arkadami stojącéj, zgromadzono to wszystko, co biblioteka posiada najrzadszego w manuskryptach, rycinach i drukach. Tamto podróżny ze czcią przegląda pergaminowe album, uświetnione podpisami królów polskich co zwidzili bibliotekę. Piérwszy Henryk Walezyusz podpisał się wysokiemi literami, za nim Batory, królowa Anna, Zygmunt III i inni, a ostatni Stanisław August. Każdy podpis królewski okolony jest winietami, a przy podpisie cesarza Franciszka Józefa, Płonczyński malarz przedstawił pożar Krakowa w r. 1850.

Prócz monarszych podpisów, mieści się tu dosyć imion historycznych, lecz ostatni obrońcy kraju może najwięcéj zatrzymują uwagę przechodnia. Drugi rękopis pergaminowy, zwany *Codex picturatus*, zawiera przywileje cechów i rzemiosł miasta Krakowa. Zebrany w większéj części przez Baltazara Behma, sekretarza magistratu w 1505 r., ozdobiony jest 27 pięknemi miniaturami.(*) Daléj książka modlitewna, na delikatnym bardzo pergaminie pisana w r. 1396, piękném, drobném lecz wyraźném pismem; początkowe litery kolorowane, a przy zaczęciu rozdziałów miniatury bardzo cenione przez znawców. Rękopis na papierze pod tytułem *Decisiones rotae Wilhelmi Horborch;* na ostatniéj stronicy tego dzieła znajduje się kopia praojców naszych śpiewu „Boga Rodzicza Bogem slawena Maria“, najdawniejszy pomnik języka polskiego, przypisywany świętemu Wojciechowi. Kopia ta jest z r. 1408, najdawniejsza jaką dotąd znają, tąż samą ręką pisana co i dzieło Hartborga, ale bledszym nieco atramentem. Rękopis na papierze z roku 1457 cały pisany ręką świętego Jana Kantego; w nim znajdują się wyciągi z ojców kościoła i inne. Kodeks in folio pergaminowy z 360 arkuszy złożony, zwany *Liber magnus*, długi czas Twardowskiemu czarnoksiężnikowi przypisywany, a którego prawdziwym autorem Paweł Paulirinus z Pragi. Jest to ówczesna encyklopedya, bo znajduje się tam grammatyka, logika, medycyna, astrologia i historya naturalna; przy téj ostatniéj, obok łacińskich nazw ptaków i zwierząt, przydane są na marginesie nazwy czeskie. Co do historyi typografii znajduje się w tym rękopisie bardzo ważny ustęp, powtarzany kilkakrotnie przez francuzkich i niemieckich pisarzy, autor bowiem żył w czasie kiedy się początki téj sztuki objawiać poczęły. Godnym jest także uwagi rękopis na pergaminie w języku czeskim przez Pułkawę pisany, ozdobiony miniaturami przedstawiającemi książąt czeskich od początku ich historyi aż do XIV wieku.

Pomiędzy bardzo rzadkiemi drukami umieszczonemi w téj szafie jest dzieło pod tytułem: *Johannis de Turrecremata (Torquemada) Cardinalis explanatio in Psalterium, impressum Cracis*, bez daty. Uważają to dzieło za najpiérwszy druk krakowski. Na pergaminie drukowane dzieło *Constitutiones Clementinae* w Moguncyi przez Fausta i Schöffera w r. 1460. Listy świętego Hieronima, drukowane także na pergaminie w Moguncyi r. 1470 przez Schöffera, legowane akademii krakowskiéj w r. 1475 przez Stanisława Szadka, professora teologii. *Speculum Saxonum* r. 1535 w Krakowie przez Victora na pergaminie. Są także Akafisty, dzieło Skoryny Franciszka, w białoruskim języku, tak jak nim około Połocka mówią. Wiszniewski uważa egzemplarz ten za jedyny jaki dziś istnieje.

Wiodąc daléj naszę wędrówkę po drugiéj sali, spostrzegamy z jednéj strony bogaty zbiór klassyków greckich, a z przeciwnéj łacińską literaturę. Dzieła filologiczne, dla tutejszego seminaryum filologicznego z Niemiec sprowadzone, zajmują szafę osobną. W pośrodku sali, w nizkiéj i szerokiéj szafie, są rękopisy tyczące się prawa i historyi, dzieła klassyczne grecki i łacińskie, pisane w 14 lub 15 wieku. Jest tam także około cztérdziestu woluminów astronomicznych, pomiędzy któremi wiele egzemplarzy Regiomontana, Brosciusa i innych; trzy lub cztéry słowniki łaciny średniowiecznéj, bardzo cenne dla dobrego zrozumienia ówczesnych autorów. Dla przyozdobienia téj szafy umieszczono na wiérzchu kilka przedmiotów sztuki, pomiędzy ktoremi Herkules-dziecko rozrywający węża i Kupido uśpiony na swym sajdaku, oba z marmuru paryjskiego, wytwornéj roboty, ale nieznajomego dłuta. Ciekawy tu także ułomek rzeźby Wita Stwosza, znakomitego artysty z XV wieku, urodzonego w Krakowie, a zmarłego w Norymberdze (*).

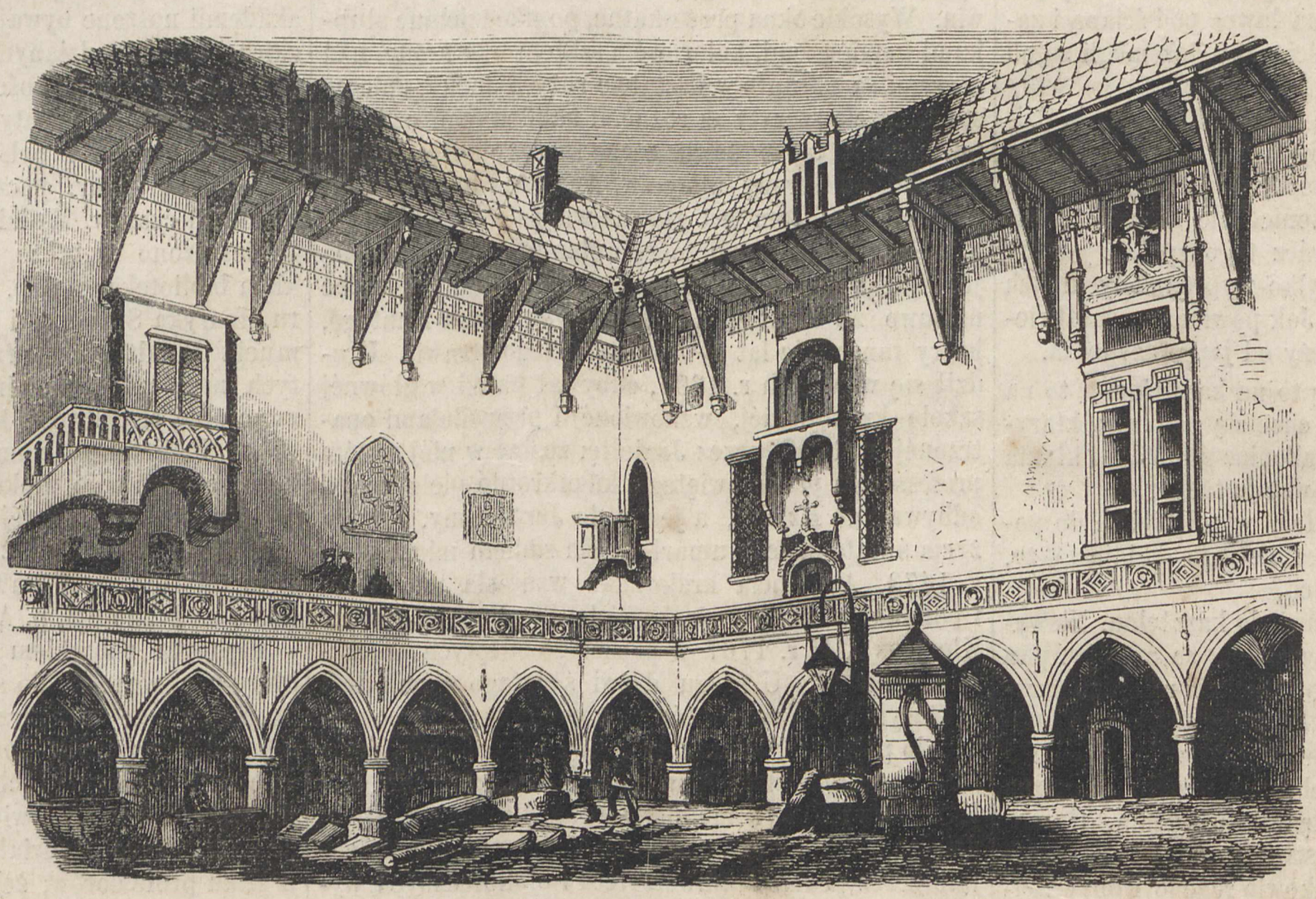

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA W KRAKOWIE.

Przy wnijściu do trzeciéj sali, obok drzwi oszklonych, z pięknemi ozdobami z kamienia wyciosanemi, zawieszony jest drzeworyt z XVI wieku, niepiękny wprawdzie, ale mający wartość historyczną. Jest to „Kontryfet zboru, który luterskim zowią, zburzonego r. 1574 dnia 2 października.“ Widać tam dom dwupiętrowy, o wysokim, spadzistym szczycie; w oknach, na dachu i u spodu tego domu gromada ludzi zajęta burzeniem. Pod drzeworytem wiérszy kilkanaście, których początek taki:

Takie było burzenie zboru luterskiego.
Jeżeliś zatrudniony nie widział wszystkiego,
Patrz bracie mój jak rąbią wrota siekierami,
A drudzy zaś jako się mocują z kratami.

Trzecia sala, oświecona dwoma wysokiemi oknami, nad któremi są okrągłe w kształcie róży okienka, a w pośrodku kapliczka wystająca na ulicę, tak zachowana jak była dawniéj, wzmocniona tylko silnemi sztabami żelaznemi, wewnątrz ozdobiona sztukateryą i gustownem malowaniem sufitu. W ścianie naprzeciw kaplicy schody wężykowate, z wielką staran-

(*) Wizerunek i życiorys jego wkrótce czytelnikom Tygodnika podamy.

(Obacz Dodatek).

SZACHY.

ZADANIE XXIV

(*S. B. w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za drugiém posunięciem.

Czarne.

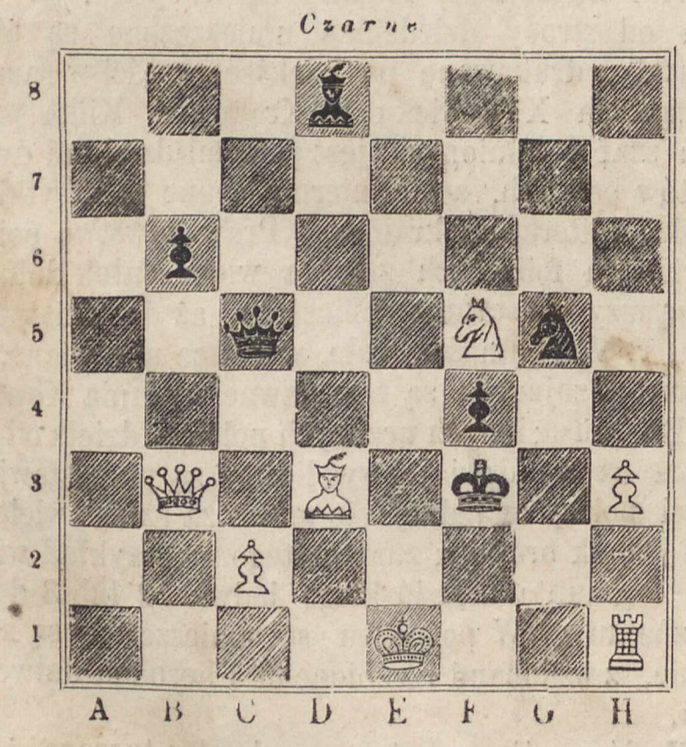

Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 23.

Białe.	*Czarne.*
1) C 2 — E 4 † . . .	1) D 5 — D 6
2) C 4 — C 6 bierze † .	2) D 7 — C 6 bierze
3) E 4 — E 5 † . . .	3) D 6 — D 7
4) E 7 — E 8 (laufer) † i mat.	

Gdyby po piérwszém posunięciu król czarny bił wieżę albo królowę białą, wtedy dostaje mata za następném posunięciem, w piérwszym razie koniem na A 3, w drugim na C 3.

(*) Wszystkie miniatury z tego zbioru posiada sfotografowane znany archeolog warszawski p. Karol Beyer.

REBUS.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 31.

Mówią że butelka i kieliszek, to siostra i braciszek.

(Dodatek.)

nością wykończone, prowadzą na galeryą, żelazną balustradą opatrzoną, w około któréj ułożone są dzieła medyczne, chirurgia, anatomia, fizyologia; mnóstwo broszur i dyssertacyj doktoryzujących się po wszystkich fakultetach niemieckich, uporządkowane stósownie do przedmiotów i alfabetycznie. W saméj sali, w szafach wzdłuż jednéj ściany, mieści się historya Niemiec, ogólna i szczegółowa, dość licznie opatrzona nawet rzadkiemi dziełami z XVI i XVII wieku; są tam także i *Monumenta Germaniae* Pertza. Historya Anglii, Danii, Szwecyi, Rossyi, Czech, Włoch, Hiszpanii, państwa ottomańskiego i inne obfitują w dość ważne dzieła nawet źródłowe, ale mniéj bogate jak historya Niemiec. Historya Francyi w trzech działach umieszczona; jest tam i kilkanaście dzieł źródłowych, ale najnowsi pisarze rzadsi. W środku sali w szafie nizkiéj są rękopisy filozofii scholastycznéj i historyi naturalnéj, również i karty geograficzne. W kapliczce mieści się mały zaczątek muzeum starożytności; znajdują się tam popielnice z przedchrześciańskich czasów, w różnych okolicach dawnéj Polski wygrzebywane, krzemienne noże i dłuta, kolczugi rycerskie, stare kopie i miecze; jest infuła i pastorał Ponętowskiego opata hradyskiego z wieku XVI, pierścień Karnkowskiego, którym koronował Stefana Batorego, pierścień ostatniego burmistrza krakowskiego; są także i obce rzeczy, przez podróżujących Polaków w wycieczkach po Europie nabywane i bibliotece na pamiątkę odwidzin ofiarowane, jak np. ozdoby znalezione w mumiach egipskich, satyr bronzowy, utwór rzymski, ofiara Mitrze z kamienia, trochę uszkodzona, kilkanaście kamei i t. d. W ogóle przedmiotów starożytności jest 264. Znajdował się przez wiele lat w gmachu bibliotecznym Światowid, bożyszcze Słowian; teraz umieszczonym jest w muzem Towarzystwa naukowego krakowskiego.

Czwarta sala, zwana długą, otoczona u góry również jak poprzedzająca galeryą, zawiera na dole dzieła encyklopedyczne, a w siedmiu przedziałach oddzielnie ułożoną jest biblioteka przez ś. p. Józefę z Zawadzkich Gostkowską uniwersytetowi legowana. Jest w niéj około 3000 tomów, najwięcéj francuzkich pisarzy. W środku sali, w dwóch nizkich szafach, mieści się 600 rękopisów teologicznych z XIV i XV wieku, na galeryi zaś pisma peryodyczne francuzkie, niemieckie i obce literatury.

Przechodzimy już do ostatniéj sali, tak zwanéj jagiellońskiéj. Bywały tu dawniéj zebrania i posiedzenia uroczyste akademii; dziś zapełnioną jest książkami, które w saméj bibliotece dotąd pomieszczonemi być nie mogły. Mury téj sali ozdobione są malowidłami klejową robotą, wykonanemi przez Michała Stachowicza artystę krakowskiego, zmarłego przed trzydziestą laty. Starał się malarz przedstawić ważniejsze sceny z historyi akademii krakowskiéj, ale przez przebudowanie gmachu już kilka jego utworów zostało zniszczonych, te zaś co istnieją, trudno by się utrzymać mogły, bo jedna ściana nadto wypukła grozi zniszczeniem, a na niéj właśnie najlepsza może praca Stachowicza: processya akademii ze wsi Bawołu, dzisiejszego Kaźmirza, na ulicę św. Anny. Typy polskie przedstawiają się tu wydatnie, ale co do strojów ówczesna archeologia nasza rzeczywistości wskazać artyście nie mogła. Na drugiéj ścianie przedstawioném jest nadanie przywilejów akademii za czasów Kaźmirza W. w r. 1564. Z przeciwnéj strony Jagiełło na tronie, otoczony dygnitarzami polskiemi i litewskiemi, wręcza przywileje akademii Stanisławowi Skarbimirskiemu, piérwszemu rektorowi w r. 1400. Jest tam także kilka innych scen historycznych, ale już je sama ręka czasu powoli niszczyć poczyna. Sufit téj sali jest drewniany, z ozdobami rzeźbionemi i pozłacanemi, które sięgają jak się zdaje jeszcze do XVI wieku.

Przebiegłszy z nami te sale, czytelnik dostrzegł zapewne, że biblioteka zawiera w sobie dość znaczne skarby intellektualne; dla uzupełnienia więc tego obrazu umieszczamy tu krótki statystyczny wykaz, czerpany w najlepszém źródle.

Na początku roku szkolnego 1860 sam księgozbiór obliczony zawierał 81,405 dzieł, co przeszło 120,000 tomów wynosi. Dubletów jest 15,029. Zbiór rękopisów, do których się liczą dyplomata, listy, fragmenta, numerów 5477, w 2200 tomach zawartych.

Zbiór kart geograficznych, jako to atlasy, pojedyncze mappy, plany—1212 numerów.

Zbiór artystyczny: obrazy olejne, illuminowane, rysunki, ryciny, litografie, muzykalne kompozycye numerów 3579.

Zbiór medali i monet,—8058 sztuk.

Zbiór archeologiczny,—264 przedmiotów.

Fundusz stały biblioteczny na książki, oprawy i potrzeby kancellaryjne wynosi 2400 fl. aust. mon. Urzędników biblioteki jest cztérech, to jest: bibliotekarz, adjunkt, praktykant, dietaryusz i dwóch famulusów. Czytelnia otwarta w dnie powszednie od dziewiątéj do piérwszéj rano.

SPRAWOZDANIE
Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNALAZKÓW.

Najwznioślejszą ideą naukową naszego wieku jest myśl o jedności materyi i jedności siły we wszechświecie. Trudno się oprzéć, jak słusznie powiedział pan Lesiński na jednym ze swych odczytów chemii, pociągowi téj pięknéj myśli, że jeden stwórca stworzył jedną tylko materyą i jedną siłę; że wszystkie różnorodne ciała i rozmaicie w skutkach swoich objawiające się siły, są tylko rozmaicie ułożonemi cząsteczkami jednéj pierwiastkowéj materyi, a wszystkie siły postrzegane w przyrodzie, jedną, różnie w odmiennych razach działającą lub zastósowaną siłą. Ale, dodał szanowny profesor, dopóki nauka w dalszych postępach nie rozświeci nam wielu jeszcze tajemnic, dotąd dla nas nieznanych, musimy te wszystkie ciała, (a jest ich sześćdziesiąt kilka) których znanemi dotąd środkami rozłożyć nie możemy, uważać za ciała jednorodne czyli pierwiastki, z których dopiero, jak wyrazy mowy z pojedynczych głosek, składają się wszystkie w przyrodzie znajdujące się twory.

Co się tyczy siły, jako jedności, jesteśmy już znacznie bliższemi owego na początku przytoczonego założenia. Ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm, powinowactwo chemiczne, nakoniec ruch, tak wiele mają między sobą wspólności, podobieństwa i ścisłych stosunków, tak często dotykalnie zmieniają się jedne w drugie, że dziś już prawie z zupełną pewnością przewidywać można, iż naukowe badania doprowadzą nas wkrótce do stanowczego wykazania, iż one wszystkie są tylko odmianami jednéj i téj saméj siły.

Na jednéj z popularno-naukowych prelekcyj w Paryżu, w sali towarzystwa rolniczego, uczony ksiądz Moigno przedstawił ważne i zajmujące odkrycia i postrzeżenia w ostatnich czasach w tym względzie dokonane. Największe na téj drodze zasługi położył Seguin, który od lat kilku z prawdziwém poświęceniem i gorliwością pracuje nad wykryciem wzajemnych stosunków pomiędzy siłami przyrody.

Drobniuchna na pózór okoliczność była powodem ważnego odkrycia. Rozciągnąwszy szybko kawałek sprężnika (gumy elastycznéj), np. pasek, jakiego damy używają do przytrzymywania rękawków, i dotknąwszy go do twarzy, uczujemy że jest ciepły; puściwszy go aby się ściągnął napowrót, okaże się że stał się zimnym. Ta zmiana stanu ciepłoty przez silne rozciągnięcie, a następnie puszczenie swobodne kawałka sprężnika, nie da się inaczéj tłumaczyć, jak związkiem między siłą użytą do jego rozciągnięcia, i ciepłem w nim utajoném.

To postrzeżenie i dawniéj już przez innych uczonych uważane, pojawianie się ciepła wzbudzonego przez ruch, działanie magnetyzmu, elektryczności, powinowactwo chemiczne, światło i t. d., zachęciły p. Seguin i wielu innych uczonych do badań nad przyrodą, związkiem i jednorodnością tych sił. Ksiądz Moigno wyjaśnił i doświadczeniem stwierdził osiągnięte na téj drodze pewniki i przypuszczenia, a mianowicie:

Że ruch, światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm i powinowactwo chemiczne mają między sobą ścisłe związki i podobieństwa.

Następnie, że te siły rodzą się jedne z drugich tak, iż wprowadzając jednę z nich w działanie, można wywołać pojawienie się wszystkich innych. I tak np. za pomocą ruchu w maszynce ciepłorodnéj pp. Beaumont i Mayer,(*) wywoływano wysoki stopień ciepła; za pomocą machinki indukcyjnéj Nolleta, wzniecano naprzemian ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm i działania chemiczne składania i rozkładania ciał. Daléj, że przeobrażanie się tych sił różnorodnych odbywa się w stosunkach liczebnych stałych, czyli według prawa o równoważnikach niezmiennych, tak, iż jednostajna ilość któréjkolwiek z nich, użyta do utworzenia innéj siły, objawia się zawsze jedną i tą samą ilością nowopowstałéj siły. I tak, jeśli bez żadnéj ubocznéj straty dla utworzenia siły mechanicznéj, użyjemy ilości ciepła zdolnéj podnieść o jeden stopień termometru temperaturę dwóch funtów czyli kwarty wody, to otrzymana siła mechaniczna, będzie zdolną dźwignąć w jednéj sekundzie na wysokość jednego metra ciężar 854 funtów, i nawzajem, jeśli dla otrzymania ciepła, użyjemy siły mechanicznéj zdolnéj podnieść 854 funt. na wysokość jednego metra, ilość utworzonego przez to ciepła dostateczną będzie do podniesienia o jeden stopień temperatury jednéj kwarty wody.

Po czwarte: ksiądz Moigno wykazał, iż to powstawanie rozmaitych sił przyrody odbywa się przez przeobrażanie się jednych w drugie, to jest że np. ciepło w pewnych warunkach przemienia się w siłę ruchu, w światło elektryczne, magnetyzm, powinowactwo chemiczne i t. d.

Tego wzajemnego związku sił przyrody dowodzi piękne doświadczenie Grove'go, w którém promień światła padający na blaszkę daguerotypową, stanowiącą część ogniwa elektro-galwanicznego, połączonego z czułym galwanometrem i termometrem, sprawia w jednéj chwili i najzupełniéj jednocześnie działanie powinowactwa chemicznego na powierzchni blaszki, to jest utworzenie się obrazu fotograficznego, tudzież wzbudza prąd elektryczny, okazujący się poruszeniem igiełki galwanometru i podnosi ciepłotę na termometrze Bregueta.

Jako uderzający przykład tego wzajemnego objawiania się sił fizycznych, ks. Moigno stawia człowieka. Człowiek utrzymuje się pożywieniem złożoném z węgla, wodoru, azotu i pierwiastków mineralnych, tudzież oddychaniem. Najważniejszém zjawiskiem życia jest palenie węgla albo wodoru przez tlen powietrza. To palenie rodzi w nas wysokie ciepło, utrzymujące całe nasze ciało, nawet w zimie, na 26 — 27 stopni Réaumura; daléj prąd elektryczny nerwowy, którego istnienie wykazał, a nawet szybkość wymierzył Helmholtz; następnie krążenie krwi w całym systemie żył i tętnic; siłę mechaniczną, zdolną przenosić z miejsca na miejsce z szybkością kilku metrów na sekundę ciężar naszego ciała, czyli około 150 funt. wagi; siłę muszkularną wykonywaną przez różne organa, a która człowieka należycie wyćwiczonego czyni jedną z najsilniejszych istot zwierzęcych; nakoniec powinowactwo chemiczne, działające w tysiącznych a rozmaitych objawach i kombinacyach składu i rozkładu, przyswajania, wydzielania i t. d. Tu widocznie już nie zachodzi samo tylko podobieństwo, pokrewieństwo sił, ale najwyraźniéj ich wzajemne przeobrażanie się jednych w drugie, najzupełniejsza jedność ich przyczyn, albo nawet ich przyrody. Ciało ludzkie i badania fizyologiczne nad niém, przedstawiają najpewniejszą drogę do wykazania téj wielkiéj syntezy jednorodności, a raczéj jedności siły przedstawiającéj się w różnych powyżéj wymienionych postaciach.

(*) Opis dokładny téj machiny znajduje się w kalendarzu popularno-naukowym J. Ungra na r. 1853.

OKROPNA NOC
W GARDEROBIE TEATRALNÉJ.

(Ramotka bez pretensyi).

(Dokończenie).

III.

Miałem ja dawną zażyłość z owym Sebastyanem, najpiérw że za jego staraniem byłem człowiekiem porządnym, bo codziennie z rana przychodził czyścić mi suknie i utrzymywał ochędóstwo w mojém kawalerskiém mieszkaniu; powtóre że mając zdawać rigorosa uniwersyteckie, za jego protekcyą z nieboszczykiem Kaluniem odczytywaliśmy skrypta na sali redutowéj; nakoniec co najważniejsza, że Sebastyanowi trzykrotnie przyśnił się skarb i bylibyśmy go niezawodnie wykopali, gdyby się tam znajdował gdzieśmy robili poszukiwania. Lecz losy inaczéj zrządziły, znaleźliśmy tylko kilka kamieni, i skutkiem tego Sebastyan umarł w nędzy, a ja do dziś dnia walczę z upartym losem.

Chcąc tedy uwieńczyć miłość Bronisława zaślubinami z hrabianką, a zarazem zadosyć uczynić własnéj ciekawości, udałem się do owego stróża i zamówiłem na całą noc garderobę damską, gdzie się miał odbyć dramat.

Dla uspokojenia Sebastyana, powiedziałem mu że się będziemy uczyć matematyki.

Leniwo wieczór się zbliżał. Ażeby czas skrócić, zająłem się gorliwie wyprawą i w tym celu kupiłem z owego honoraryum pół funta szynki, cztéry bułki i pół buteleczki jakiéjś nieszpetnéj małmazyi. Odwidziłem potém matkę, gdzie mi się udało przywłaszczyć skrycie palmę święconą, od roku spoczywającą za zwierciadłem.

Najgorsza trudność była w wystaraniu się o gromnicę, lecz temu zaradził p. Piotr, kościelny od świętéj Anny.

O trzy kwadranse na dziewiątą byłem już na ulicy, gdy wtém przypomniałem sobie o zleceniu Bronisława, ażeby przynieść z sobą książkę religijnéj treści, wróciłem więc szybko do mieszkania.

Na nieszczęście gospodarstwo moje było w nieco zaniedbanym stanie; napróżno szukałem zapałek.... ani jednéj... Co tu począć?... nie było czasu do stracenia, a więc na chybił trafił sięgnąłem do szafki i piérwszą książkę co mi się pod rękę nawinęła włożywszy pod pachę, poszedłem do cukierni.

Już tam zastałem koleżkę; był zmieniony do niepoznania. Jego czarne oczy błyszczały niezwykłym ogniem, twarz śniadawa pobladła, a od czasu do czasu lekkie drganie wstrząsało ciałem.

— Pójdźmy już, pójdźmy, niechaj się raz stanie! zawołał Bronisław, widząc mnie wchodzącego.

— Napijmy się wprzód herbaty, odrzekłem. Na dworze zimno, trzeba się ogrzać.

— Nie będę pił, szkoda czasu.

— Ale ja się napiję, wolę stanąć przed lucyperem po herbacie, przynajmniéj mnie nie będzie przymuszał do smoły.

— Zawsześ wesoły jak.... i uciął.

— Jak Stańczyk, chciałeś powiedzieć. Mniejsza o to. Wybierając się do miejsca gdzie panuje płacz i zgrzytanie zębów, trzeba zabrać na drogę porcyą dobrego humoru.

Wypiłem podaną herbatę i poszliśmy do teatru — Sebastyan otworzył nam bramę i garderobę, a wziąwszy złotówkę, wedle umowy poszedł spać.

Zapaliliśmy świecę i zasiedli przy jednéj z nizkich szafek, jakie aktorom do ubierania się służyły; Bronisław zaczął wydobywać z pod bondy różne rekwizyta. Były tam więc i wianki święcone, i książka do nabożeństwa, i potężne kropidło, i flaszka, obrazki świętych, różaniec i nareszcie gromnica.

— Na cóż gromnica, kiedy ja ją przyniosłem? rzekłem, kładąc swoję na szafce.

— Jedna dla mnie, druga dla ciebie, odpowiedział.

— Widzę więc że obydwa mamy umierać; dobrze przynajmniéj że się masz czém bronić. Ale i ja nie jestem ostatni. Patrz, rzekłem z tryumfem, stawiając na stole butelkę i wyciągając pakiecik.

— Co to jest? zapytał Bronisław.

— A to co? rzekłem, wskazując na jego flaszeczkę.

— To jest święcona woda.

— A to węgierskie wino.

— Więc to z takiém usposobieniem przychodzisz tutaj? mówił Bronisław ponuro. Nie omyliłem się, sądząc że do téj sprawy jesteś za lekkim.

— Zaraz będę cięższym, odpowiedziałem, tylko zjem kawał szynki — ot posil się wraz ze mną, a nabierzesz lepszego humoru.

— Oto mój posiłek, rzekł ascetycznie, wskazując na rozłożoną księgę. A ty, czy przyniósłeś książkę do nabożeństwa?

— Mam, mam, odpowiedziałem, wyjmując wolumen z kieszeni — oto jest....

— Ależ to są Purytanie szkoccy.

— A do licha, po ciemku zamiast książki do nabożeństwa porwałem Walterskotta.

— Ja ci mówiłem żebyś przyniósł książkę religijną, nie pojmuję jak można być tak roztargnionym.

— Toż sam tytuł wskazuje, że Purytanie są książką religijną.

— Widzę że wszystko na nic, lekceważysz straszne dzieło i myślę że lepiéj wrócić do domu.

— A to wracajmy, rzekłem zniecierpliwiony. Czy myślisz że nie wolę położyć się do łóżka, jak ziębnąć tu, niewiedzieć na co i po co.

— Zostańmy się, odpowiedział, zląkłszy się ażebym nie poszedł, — i zaczął czytać psalmy pokutne.

Nakoniec na zegarze ratuszowym wybiło wpół do dwunastéj. Bronisław wstał, pocałował i złożył książkę.

— Już czas, rzekł, bierzmy się do roboty! Przeszliśmy do drugiéj garderoby, przenosząc wszystkie rekwizyta.

Bronisław kazał mi drzwi na oścież otworzyć, poczém utkwił przyniesione szydło na środku, uwiązał sznurek, a przyczepiwszy do drugiego końca krédę święconą, począł zakreślać trzy koła, z których piérwsze miało 8, drugie 10 a trzecie 12 stóp średnicy.

Na obwodzie zewnętrznego koła, od strony cztérech okolic świata, wyrysował cztéry kwadraty, a wypisawszy wewnątrz każdego imię jednego ewangelisty, położył w nim odpowiedni obraz świętego; pomiędzy obwód zewnętrzny i środkowy wpisał cztéry imiona biblijne najwyższéj istoty, zaś między dwa wewnętrzne wiérsz z jakiéjś modlitwy.

Stałem na boku i z podziwieniem zapatrywałem się na te praktyki, mojego kolegi rozważając w myśli, do czego to miłość nie doprowadzi człowieka. — Wszystko szło jakoś nieźle, on rysował, a ja milczałem — lecz nagle, widząc jak wszystkie szpary i nierówności desek, sprawiające przerwy w obwodach kół, troskliwie zacierał święconą krédą, parsknąłem ze śmiechu.

— Czego się śmiejesz, pustaku? zapytał z gniewem Bronisław.

— Bo nie mogę wytrzymać, patrząc jak się boisz żeby diabeł nie przemienił się w tasiemca i przez szparę nie wcisnął się do koła.

— Milczałbyś lepiéj, rzekł Bronisław, wychodząc z koła dla zabrania świętości, nie godzi się w takiéj chwili żartować, bo to się może bardzo źle skończyć. I obejrzał się bojaźliwie.

— Czy myślisz że się boję diabła? zawołałem z przechwałką. Niech przyjdzie, a zobaczysz jak go przywitam.

Nagle rozległ się straszny łoskot na scenie, jak gdyby z paludamentów belka spadła.

— Wszelki duch pana Boga chwali! rzekł Bronisław blady jak ściana, i wskoczył do koła jak oparzony.

I ja zamilkłem, bo mi ten łoskot niebardzo się podobał, ale niechcąc uchodzić za tchórza w oczach kolegi, po chwili chwyciłem za butelkę wina i zawołałem:

— Głupstwo, spadła cegła i basta, a ty zaraz tchórzysz. Ot lepiéj wypijmy za zdrowie kota co ją zrzucił.

— Na miłość Boską daj pokój żartom, pójdź do koła i posłuchaj co ci powiem, bo zaledwie mamy kilka minut czasu.

Wszedłem i stanąłem obok Bronisława, który wydobywszy z kieszeni małą, pergaminową, bardzo starą książeczkę, rzekł do mnie.

— Oto jest księga cudowna; na jéj kartach spisane są zaklęcia zdolne przywołać na ziemię ducha, stróża skarbów, strasznego Jerafiela. Za jéj pomocą pradziad mój w ciężkiéj potrzebie otrzymał 10,000 czerwonych złotych, z których podziśdzień ojciec mój przechowuje jeden na pamiątkę. Resztka naszéj fortuny z tego jeszcze źródła pochodzi. Ja będę żądał więcéj, to jest 130,000 dukatów; z tego damy 30,000 na wybudowanie kościoła, a nam po 50,000. Czy zgoda?

Rozśmiałem się znowu głośno, a echo pustéj sali dziko ten śmiéch odbiło.

— Dlaczego nieustannie śmiejesz się, niedowiarku? rzekł surowo Bronisław.

— Bo zamiast 130,000 dukatów, zyskamy tyleż diabłów.

Nagle huk silniejszy od poprzedzającego wstrząsnął sklepieniem sali, szyby w oknach zadźwięczały żałośnie, poczém nastała głęboka cisza.

Bronisław się modlił, a mnie odleciała chętka do żartów.

Zegar ratuszowy zaczął bić kwadranse; naracho-wałem cztéry, poczém drugi dzwon przeciągle uderzył dwunastą.

Północ!

— Oto czas, szepnął Bronisław, zapalił obie gromnice, wziął jednę a mnie podał drugą, nasunął kaptur od burki i ukląkł.

— Klęknij obok mnie!

Machinalnie ukląkłem, bo przyznam się że ów huk, ten jęk zegara i ponura ciemność, zaglądająca ze sceny przez drzwi otwarte na roścież, wreszcie rozdrażniona samotnością wyobraźnia, przyznam się, mówię, że to wszystko nienajprzyjemniejsze wywierało na mnie wrażenie.

Gdyby kto nas ujrzał przypadkiem klęczących o północy w pustkowiu, z nasuniętemi na głowę spiczastemi kapturami naszych burek i ze świecami w ręku, to mógłby przysiądz, że widział dwóch pokutujących mnichów.

Bronisław zaczął czytać zaklęcia; dźwięczny głos jego rozlegał się po sali. Słów dobrze nie pamiętam, lecz wiem że zaklinanie rozpoczynało się od wyrazów: „Jerafielu! duchu podziemny! stróżu skarbów, zaklinam cię i rozkazuję w imię Pana nad pany i t. d.“, kończyło się zaś: „ukaż się tu w postaci młodzieńca pięknego i przynieś z sobą w złocie czystém 130,000 dukatów ważnych, hollenderskich, nieobrzynanych.“

Mnie kazał odmawiać litanią. Klęczałem obok mego towarzysza i ciekawie słuchałem różnych zmian piérwszéj części owego zaklęcia; ale wkrótce, bądź skutkiem jednostajnego dźwięku jego głosu, bądź wpływem węgrzyna, który młodéj a nieprzyzwyczajonéj głowie niepospolicie ciężył, przysiadłem na nogach, oparłem się na jego ramieniu i usnąłem. Jak długo spałem, niewiem, lecz nagle zostałem obudzony silnym brzękiem szyb w oknie.

Co to jest? zawołałem, zrywając się ze snu.

— Już idzie, mruknął Bronisław, blady jak śmierć, i tém gorliwiéj czytał swoje zaklęcia.

— Otwórz! otwórz! zagrzmiał dziki głos za oknem.

Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głowy — odwaga gdzieś znikła, zęby zaczęły klekotać, czułem że zbladłem.

— Jerafielu, duchu podziemny! stróżu skarbów! sługo ciemności! i t. d. powtarzał ciągle Bronisław, nieporuszony jak posąg, a blady jak śmierć.

— Otwórz! otwórz! bo jak nie otworzysz, to będzie źle! wołało widmo z za okna.

— 130,000 dukatów ważnych, hollenderskich, nieobrzynanych.

— Przestań, mówiłem do Bronisława, ktoś się dobija do okna.

— Jerafielu! duchu podziemny!

— Czy nie słyszysz — Bronisławie?

— Sługo ciemności! ciągnął niewzruszony Bronisław.

— Otwórzże do krocset.... bo cię nauczę!

— W złocie czystém, mówił Bronisław daléj.

Tu zatrzęsło się okno od gwałtownego uderzenia, jak gdyby miało wypaść z ramami. Otwórz! krzyknął przeraźliwy głos, bo zginiesz!

— Ty sam zginiesz, zawołał Bronisław ogromnym głosem, wyciągnąwszy kropidło ku oknu. Ty sam zginiesz, nędzny potworze, bom silniejszy od ciebie, bo moja moc nadziemska; rozkazuję ci wnijdź natychmiast i oddaj twe skarby, albo cię obrócę w nicość!

Głos umilkł i nic więcéj nie słyszeliśmy.

Bronisław, zdumiony uporem złego ducha, podwoił zaklęcia, ale to tyle pomogło, co umarłemu kadzidło. Daremnie czytał jeszcze przez pół godziny straszliwe wyrazy; Jerafiel nie przychodził, a co gorsza nie przynosił pieniędzy. Znać nieborak przeląkł się i uciekł napowrót do piekła.

Wybiła piérwsza.

— Nie przyjdzie, rzekł smutno Bronisław, zamykając książkę, godzina duchów minęła, wymknął się moim zaklęciom.

— Cóż więc zrobimy? zapytałem.

— Zaczekamy do rana w kole, bo kto wié co się jeszcze stać może, tu jesteśmy bezpieczni.

— Ależ nie bądź dzieckiem, rzekłem, pójdź lepiéj do mnie, trzeba się przespać.

— To niebezpiecznie, odparł Bronisław. A gdyby powrócił?.... śmierć nieuchronna.

— Ba.... ba.... przecież całą noc nie będzie czatował na nasze głowy. Pokrzep się cokolwiek. I podałem mu resztki méj amunicyi.

Nie odmówił tym razem, i posiliwszy ciało a tém samém i ducha, mówił:

— I jabym poszedł, ale jak tu wyjść z koła?

— Ot tak, rzekłem, i wyskoczyłem.

Bronisław z przerażeniem czekał rychło mi diabeł łeb urwie, ale widząc że został na karku, skropił gło-

wę święconą wodą, natarł ręce krédą i uzbrojony kropidłem wyszedł na zewnątrz.

Zebrawszy graty, przeszliśmy scenę ze świécami; olbrzymi paludament leżał na niéj, daléj zaś przewrócona przystawka. Ta była przyczyną piérwszego łoskotu, tamten zaś przeraził nas swym upadkiem.

— Ot widzisz czém się posługiwali czarci téj nocy. Dyrektor teatru nie bardzo będzie im wdzięczny za ten nieporządek.

— Na miłość boską nie drwij, rzekł mój towarzysz przyspieszając kroku.

Doszliśmy do budki Sebastyana i zawołałem go żeby nas wypuścił.

Kiedy otwierał ciężką bramę, zapytałem go, czy nie słyszał jakiego hałasu, lub czy kto nie chodził po dziedzińcu.

— Nie, proszę pana, któżby tu chodził, w całym teatrze niéma żywego ducha, pan dyrektor jeszcze nie wrócił.

Wyszliśmy, a że mieszkanie moje było tuż przy teatrze, zaciągnąłem Bronisława na noc do siebie.

Idąc po wschodach poczęliśmy rozmowę.

— Nigdy sobie nie daruję, żem się wdał w takie koronne głupstwo, rzekłem.

— Niedowiarku!

— We wszystko na świecie uwierzę, ale nie w twojego Jerafiela, odparłem, otwierając drzwi mego mieszkania.

— A jednak był, słyszałeś przecie głos i brzęk okna.

— Słyszałem wprawdzie, ale to była jakaś porządna pięść, a przecież wiész o tém że duchy nie mają ciała.

— Pomimo to jednak mogą sprawiać ogromny łoskot; jeżeli nie wierzysz, to przeczytaj Demonomanią, rzekł Bronisław.

Tu zawiązała się żywa rozprawa: czy duchy mogą hałasować lub nie, która została nierozstrzygniętą, bo każdy z nas uporczywie bronił swojego sposobu zapatrywania się na świat zaziemski.

Późniéj Bronisław namawiał mię do powtórzenia zaklęć, w miejscu stosowniejszém od garderoby, i proponował na ten cel zwaliska zamku w Lipowcu; ja zaś drwiłem niemiłosiernie z naszych praktyk, zapewniając że się nigdy nie dam namówić do podobnéj niedorzeczności.

Rozmowa nasza wkrótce się ukończyła, z powodu żeśmy obydwa zasnęli.

IV.

Nazajutrz odwidziłem dyrektora teatru, z którym łączyły mnie bliższe stosunki.

Wchodząc usłyszałem żywą rozmowę, a piérwsze wyrazy jakie schwyciłem, tak mię mocno uderzyły, że zapomniałem się przywitać.

— Daję wam słowo, mówił dyrektor, żem widział dwóch klęczących reformatów, z woskowemi świécami w ręku, modlących się na brewiarzach.

— Ależ to niepodobna, rzekł pan Ignacy, grywający role bohatérów, panu dyrektorowi się przywidziało.

— Pan dyrektor żartuje z nas, dodał pan Adolf.

— Z początku i ja myślałem, że który z was ze mnie żartuje, mówił daléj dyrektor, ale kiedy jeden z nich odwrócił ku mnie twarz trupią, w któréj oczy jak dwa żarzące węgle błyszczały, mimowolnie uległem przestrachowi i uciekłem na górę.

— A zkąd się pan dyrektor wziął na dole o tak późnéj porze? zapytał pan Ignacy.

— Wracałem z preferansa z drezdeńskiego hotelu, odrzekł, a że mam swój klucz od bramy, otworzyłem więc cicho i wszedłem. Silne światło z garderoby zadziwiło mię. Idę pod okno, spoglądam i widzę dwóch mnichów. Myślałem że to moi panowie artyści chcą mi jakiegoś figla wypłatać. Zacząłem więc pukać w szyby i... resztę już wiécie.

— Trzeba było wejść do środka, rzekł Adolf, i przekonać się kto to był taki.

— Ba!.... łatwiéj to powiedzieć jak zrobić, a zresztą: „są rzeczy o których się filozofom naszym nie śniło;“ przestańmy na tém wyjaśnieniu.

— Oj te filozofy, te filozofy! oni to z masonami są przyczyną wszystkich strachów na świecie, rzekła niemłoda już artystka.

— Jestem pewny że to były duchy, szepnął jéj do ucha pan Ignacy.

— Niezawodnie, a potém pan przecie wiész, że na szczepańskim placu był cmentarz i nawet przy braniu fundamentów wykopano kilka czaszek.

Otóż i Jerafiel w własnéj postaci, pomyślałem, patrząc na dyrektora. Ktoby się był tego spodziewał? Ach! jaka szkoda że tu niéma Bronisława. — Dzień dobry panu dyrektorowi, rzekłem, podając mu rękę.

— Jak się masz panie Makary, siadajże. A co tam słychać w świecie? Będziemy mieli wojnę, czy pokój?

W kilku słowach starałem się mu odpowiedzieć i jak najprędzéj ukończyć rozmowę; poczém wymknąłem się nieznacznie, lękając się ażeby pan Tomasz nie poznał we mnie jednego z dwóch potępieńców.

V.

Piękne czytelniczki radeby się może dowiedzieć, czy Bronisław dostał pieniędzy od Jerafiela i czy zaślubił ukochaną hrabiankę.

Czyniąc zadosyć téj szlachetnéj ciekawości, przedłużam moję ramotkę.

W siedm lat potém w Tarnowie, w sali restauracyjnéj hotelu krakowskiego, oczekując na miłego mi pułkownika B., professora języków starożytnych w tameczném gimnazyum, uczułem nagle iż mię ktoś trącił w ramię.

Był to Bronisław, bledszy jak dawniéj, z zapadniętemi głębiéj oczami.

— Jak się masz Jerafielu, rzekłem, ściskając podaną rękę. I cóż tam słychać w świecie nadziemskim?

— Zawsześ wesoły, odpowiedział, patrząc na mnie smętnym wzrokiem.

— Ty zaś, jak widzę, zawsze w tragicznem usposobieniu, a jednakże wspomnienie naszéj pustoty powinnoby uśmiéch na usta twoje wywołać.

— Przedmiot wcale niezasługujący na żarty, rzekł poważnie.

— Więc jeszcze wierzysz w urojenia? zapytałem.

— Wierzę tylko w to, co jest prawdziwém, a dla upokorzenia twego niedowiarstwa powiem ci, że ja widziałem Jerafiela.

— Ty? zawołałem śmiejąc się.

— Ja! ręczę ci honorem.

— Ubi? quomodo? quando?

— W ruinach zamku odrzykońskiego, przed dwoma laty.

— I jakże to było? zapytałem z zajęciem.

— Ponowiłem zaklęcia, ale sam jeden, w południe, bo i na to księga dozwala. Ale zaledwie kilkakrotnie powtórzyłem formułę przepisaną, zrobił się tak niezmierny chaos, tak straszne zjawiska poczęły mię okrążać, iż o mało nie straciłem przytomności. Zdawało mi się, że niezgłębiona przepaść otacza mię dokoła, że cały firmament przemienił się w wir ognia, z którego przerażający tłum poczwar snuł się w szkaradnych kłębach. Rozżarzone mury zamczyska waliły się na mą głowę. Wśród duchów jeden, okropniejszy od wszystkich, potwór jakiego wyobraźnia ludzka stworzyć nie jest w stanie, wyciągnął do mnie ogniste ramiona i krzyknął ogromnym głosem: „Czego żądasz? Ja jestem Jerafiel!“ Nie mogłem znieść jego widoku, krew uderzyła mi do głowy, oddech zaparł się w piersi.... zemdlałem.

Nie wiem kto mię uniósł ze zwalisk, bo przytomność odzyskałem dopiéro po trzech tygodniach, w dniu przesilenia się mocnéj gorączki, która mię przykuła do łóżka. Dowiedziałem się późniéj iż mię znaleziono leżącego na gościńcu wiodącym do Krosna.

— Ot, marzenia gorączkowe i nic więcéj!

— Makarciu, rzekł poważnie Bronisław, nie wyzywaj losu, ażebyś nie został ukaranym za twe niedowiarstwo. I ty może kiedy zapragniesz związku z osobą wysokiego rodu, bo miłość nie uznaje hierarchii społeczeństwa, a wtedy, któż zaręczy, czy się nie udasz o pomoc do istot gorszych od Jerafiela? Pamiętaj co powiedział Maro: „Amor omnia vincit et nos cedimus amori.“

Cytacya ta przekonała mię, że Bronisław jest przy zdrowych zmysłach, o czém w czasie opowiadania poczynałem wątpić.

— Nie lękaj się bracie o moje serce, rzekłem, gdyż z obawy ażebym za twym przykładem nie zapragnął gwałtownie korony hrabskiéj, zakochałem się w ślicznéj dzieweczce i ożeniłem się, a ona sprowadziła mi dwóch aniołków-stróżów przeciwko nagabaniom Jerafiela. Lecz cóż się stało z twoją hrabianką?

— Od dwóch lat poszła za mąż. Wieść o jéj blizkiém zamęźciu nakłoniła mię do powtórzenia zaklęć i wywołania Jerafiela, który....

— Zamiast 130,000 dukatów, ofiarował ci wspaniale tyfus i łysinę.

— Bądź zdrów, rzekł Bronisław, i odszedł zagniewany, żem sprofanował jego głęboką wiarę w świat czarów.

I ja cię żegnam, miły czytelniku, kończąc opis naszéj przygody, z któréj ten sens moralny wywieść można, że jeżeli jesteś plebejuszem, a nie masz jeszcze trzynastego żebra w lewym boku, to go nie szukaj pomiędzy hrabiankami, abyś nie potrzebował klęczyć z gromnicą w garderobie teatralnéj, a poczciwych dyrektorów teatru nie straszył. *Makary.*

ŚWIĘTE CHWILE.

Są chwile święte, w dniu Bożym znaczone,
Niewybadane i nieodgadnione,
Jeno je dusza człowieka poczuje
Po żwawszém serca i tęskniejszém biciu,
Po fali uczuć, co w łonie nurtuje,
Po tajemniczém łona kołysaniu:
To święte chwile, gdy się dusza w życiu
Czuje bolesną, jakby na wygnaniu.

Jest chwila święta, kiedy blada zorza
Wychodzi z lasów ciemnawéj topieli,
Albo z wielkiego pól rodzajnych morza,
Albo nad fale jezior się rozżarzy,
Przed duchem światła, wstającym z pościeli.
Wtedy skowronków pieśń się rozdziendzieli,
Wtedy kwiatuszków woń się rozwielmożni,
Wtedy na drogach stawają podróżni,
A rolnik klęka przy pługu na łanie,
A żeglarz pieśnią budzi mórz otchłanie,
Myślą zawisa w kraju ukochanym.

Jest chwila, kiedy w skwarnym majestacie
Słońce na zenit niebiosów wylata,
Ramieniem blasku dzierżąc przestrzeń świata,
Gdy ziemia stanie w swéj weselnéj szacie,
I zachwycona, w uroczystéj ciszy,
Potężne tętna swego życia słyszy,
Jak harmonijnie biją w takt ze słońcem,
Roznamiętniona w uścisku mdlejącym,
Rozszołomiona w miłości upale;
Wtedy lilie rozkwitną wspaniale,
Miłośném łonem woniąc ku niebiosom,
I rosa wstydu z jaśminu ulata,
Woń upojenia ulata za rosą;
Wtedy się ciszéj fala rzeki skrada
I głosem cichszym pluskają źródliska;
Wtedy ptaszęta na gniazdach przycichną,
I oczy dziewcząt się rzewnie uśmiéchną,
I pierś młodzieńca faluje szaleniéj;
Wtedy zbrodniarza spłoszy szelest listka,
I z sową kryje twarz swą od promieni;
Wtedy wygnaniec, z rzewną łzą u twarzy,
W obcéj krainie o swym domku marzy.

Jest chwila, kiedy w drzew szemrzących fali
Słońce znużone w zmierzch nocy się kładzie,
I raz ostatni cały świat krysztali;
Po białym domku i spadłéj arkadzie,
Po jasnéj fali i po źrzałéj niwie,
I po ptaszęciu co się na sen kładzie,
Tęczowe barwy powiedzie zdradliwie:
A potém jeszcze w krwawy blask obniże
Wieże kościołów i cmentarne krzyże,
I szczyty topól, i lodowe góry,
I rozłożone obozami chmury;
A wtedy człowiek, i zwierzę, i kwiecie
Błagalném okiem powiedzie po świecie,
I trwogę dziwną w swéj piersi uczuje,
Czyli to słońce znów jutro zobaczy;
A kto w boleści, to wtenczas zrospaczy,...
A kto ma kochać, to ukocha pewno,...
A kto ma umrzéć, to natenczas skona,
Tęskne za słońcem podnosząc ramiona,...
A kto wygnańcem jest na obcéj ziemi,
To wtenczas klęcząc modli się za swemi.

J. Szujski.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA
HENRYKA NATANSONA
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,
wprost kościoła ks. Karmelitów,
otrzymała następujące nowe dzieła:

Kazania roratne i na większe uroczystości Najświętszéj Maryi Panny przez ks. C. F. Dominikana 1 tom 8ka, cena rs. 1. Miesiąc Maryi czyli miesiąc Maj, przez ks. Prokopa K., wydanie czwarte poprawne 12ka kop. 30. Miesiąc Maryi poprzedzony modlitwami porannemi, wieczornemi i pomnożony rozmaitem nabożeństwem przez L. E. 16ka, Poznań kop. 35, toż samo na papierze welinowym kop. 52½. Sprawa Graniczna, powieść z tegoczesnych zdarzeń przez F. S. Dmóchowskiego, Warszawa 1860 r., kop. 90. Szlachectwo duszy, komedya wierszem w 3ch aktach Jana Chęcińskiego (wydanie drugie), Warszawa 1860 r., kop. 60. Zbiorek wierszy i wierszyków Wiktora Dłużniewskiego, kop. 50.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH
G. Gebethnera i spółki,
w Warszawie przy ulicy Krakowskie - Przedmieście Ner 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego,
otrzymała następujące książki do nabożeństwa na miesiąc Maj: Miesiąc Maryi, dla odprawiających to nabożeństwo ułożony, a na szczególną cześć Niepokalanego Poczęcia Boga Rodzicy ofiarowany przez ks. Prokopa K, wydanie czwarte pomnożone, kop. 30 Miesiąc Maj, poświęcony Najświętszéj Maryi Pannie, przerobiony z włoskiego ku użytkowi Polaków, przez ks. Ignacego Hołowińskiego arcy-biskupa Mohylewskiego, metropolitę wszech Rzymsko-katolickich kościołów w Cesarstwie Rosyjskiem, wydanie drugie kop. 22½. Miesiąc Maryi popoprzedzony modlitwami porannemi, wieczornemi pomnożony rozmaitem nabożeństwem, przez L. E., cena na papierze zwyczajnym kop. 37½, na welinowym kop 52½. Miesiąc Maryi, czyli rozmyślania na każdy dzień miesiąca o Jéj życiu. chwale i opiece, porządkiem czasu ułożone i do Jéj świąt zastosowane, książka przez Papieża Piusa IX łaskawie przyjęta, przez cenzurę Rzymską pozwolona, a w języku francuzkim przez dwudziestu kardynałów i biskupów pochwalona i zalecona, rs. 1. Miesiąc Maryi u stóp Krzyża, rozpamiętywania boleści Najświętszéj Maryi Panny w czasie nabożeństwa Majowego, przekład z francuzkiego Seweryny z Zuchowskich Pruszakowéj, cena na papierze zwyczajnym kop. 37½, na welinowym kop. 50.

Nakładem Litografii A. DZWONKOWSKIEGO i spółka (A. Pecq), ulica Miodowa, Nr 482 (4), wyszedł chromolitografowany **Obrazek N. P. Maryi Częstochowskiéj.** Jest to wierna, bo na miejscu, za pomocą fotografii zdjęta kopja Cudownego Obrazu na Jasnéj Górze.

Jakkolwiek wydanie to znaczne za sobą pociągnęło koszta, bo jest w obrazku aż 10 kolorów, a zatem 10 razy drukować go potrzeba było, przecież wydawcy chcąc o ile możności rozpowszechnić go w kraju, sprzedają go po nadzwyczaj taniéj cenie, bo tylko po 10 kop. (20 gr.) za egzemplarz. Kupujący w większych partyach, płacą tylko rs. 7 k. 50 (50 złp.) za sto.

SPRZEDAŻ

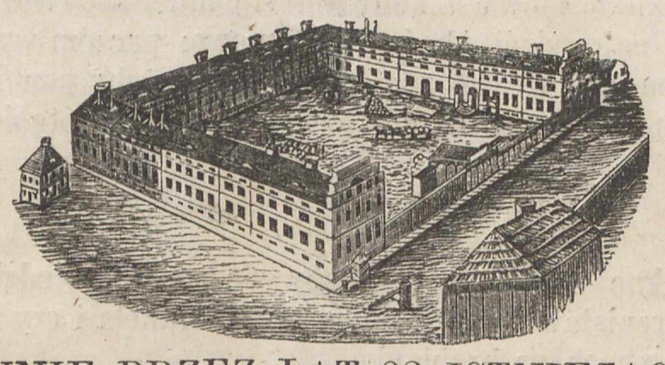

BROWARU

SŁYNNIE PRZEZ LAT 32 ISTNIEJĄCEGO.

Nieruchomość tu w Warszawie pod nrem 1108, przy ulicy Krochmalnéj i ciepłéj położona, składa się z dwóch połów czyli części, to jest z dwóch pojedyńczo jeden od drugiego rozdzielonych browarów litery A i B, z których obecnie ma być tylko jedna większa część litera B, dla dogodności, przystępniejszego mniéj utrudzającego kupna sprzedana. Część ta litera B zawiera gruntu łokci kwadratowych 7,050 mieści w sobie:

Obszerne zabudowania mieszkalne
z wszelkiemi dogodnościami,
BROWAR,

którego urządzenie oszczędza wiele czasu; pracy, materjału, zawiera najnowsze, najlepsze, w części jeszcze nie wszystkim znane maszyny do ułatwienia najtrudniejszych robót jakoto: zacieru, pompowania wody, brzeczki piwa, windowania zboża, wielkich kuf; osobliwszą maszynę miedzianną, która stawia piwowara w możności nawet i letnią porą warzyć doskonałe, nader trwałe, zwyczajne, bawarskie piwo i porter; posiada przedewszystkiem prawdziwy skarb, studnię z niewyczerpaną najzdatniejszą wodą do warzenia piwa. kosztowną komunikacyę rur miedzianych do piwa, kotły, rezerwoary miedzianne, młyn, spichrze, sztuczne piwnice zapewniające bez użycia lodu wszelkie bezpieczeństwo dla piwa zapasowego, suszarnie, które ogniem z pod kotła warzącego piwa uchodzącym, suszą równocześnie masę wybornego słodu, przez co jak wiadomo, nietylko osięga się dobre trwałe piwo, ale i wielką oszczędność materyalu palnego.

To zabudowanie

może być łatwym sposobem i tanim kosztem wrazie potrzeby przerobione na inny cel jakoto na:

Same obszerne okazałe mieszkania,

lub też częściowo służyć za browar połączony z inną fabryką i mieszkaniami, coby jednak szkoda było, gdyż zapasy piwa bawarskiego i innych dotychczas w kraju wyrabianych piw, nie wystarczają na Warszawę i na prowincyę, zaś napój ten w lecie nie jest jeszcze wyrównywający prawdziwemu bawarskiemu wyrobowi.

Cały budynek

łączą brandmury z ogniotrwałemi żelaznemi drzwiami, ubezpieczającemi od pożaru, w ogólności wszystkie urządzenia i budowle są trwałe budowane według zasad nowszego i lepszego rodzaju.

Nieruchomość nro 1,108 lit. A i B, oszacowaną jest przez Dyrekcyę Ubezpieczeń na rubli srebrnych 157 922 kop. 37 długu hypotecznego ciąży tylko rubli srebnych 48,845 kop. 20 Część większa nieruchomości nro 1,108 lit. B mająca się obecnie sprzedać wykazuje realną rzeczywistą taksę rubli srebr. 86,390. Oszacowanie zaś tejże części przez biegłych sądowych wynosi tylko rubli srebrnych 40,860.

Sprzedaż nastąpi niezawodnie w dniu 13 (25) maja r. b., o godzinie 10éj z rana w terminie ostatecznego przysądzenia (po usunięciu już wszelkich sporów prawomocnie) w Trybunale Cywilnym gubernii Warszawskiéj w Warszawie. Licytacya zacznie się od ⅔ części taksy, tojest od sumy rs. 27,240. Vadium rs. 3,000.

Cała nieruchomość i zabudowania browarne, mogą każdego dnia chęć mającemu po szczególe być okazane i objaśniane, zaś przystępne warunki licytacyi i taksę przejrzyć można w kancelaryi Wgo pisarza Trybunału wydziału Igo i u Wgo Andrzeja Brzezińskiago adwokata przy ulicy Podwal nro 497 lit. A zamieszkałego.

Żem dziewczyna jak malina,
Każdy mówi mi chłopczyna!

Mazurek do śpiewu, z towarzyszeniem fortepianu. Ofiarowany Polkom przez Andrzeja Gnatkowskiego członka Towarzystwa wykształcenia muzykalnego w Galicyi. Wyszedł w tych dniach nakładem *Sztycharni nut Ad. Dzwonkowskiego i spółka*, ulica Miodowa, nro 482 (nowy 4). Cena złp. 1 gr. 15 (kop. 22½).

SKŁAD
MATERYAŁÓW APTECZNYCH
LUDWIKA SPIESS
ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek, na placu ratuszowym, wprost gmachu teatralnego
donosi iż zawsze zaopatrzony jest
w prawdziwą
Essencyę arakową
w najlepszym gatunku
którą po cenie stałéj tojest funt po rsr. 2 kop 40 sprzedaje.

Nadmienić tu wypada, iż prawdziwa Essencya jest zupełnie *czystym, oryginalnym produktem* tak dalece, iż mniéj więcéj łut tego płynu zmieszany z garncem czystego spirytusu i zafarbowanym nieco cukrem palonym, *bez żadnych innych dodatków*, tworzy *natychmiast* zupełnie dobry arak.

Pianina paryzkie nowe i **fertepiany** o siedm, pół-siódméj i sześć oktaw, są do wynajęcia lub sprzedania, przy ulicy Stare-Miasto, pod nrem 43, trzeci dom od ulicy Sto-Jańskiéj jak flizy, w podwórzu na 1ém piętrze drugie drzwi.

Jeżeliby który z panów artystów muzycznych potrzebował na tańcujące zabawy akompanisty na fortepianie przy towarzystwie skrzypców, raczy się zgłosić pod Ner 177 na drugie piętro w podwórzu, przy ulicy Gołębiéj, a na każde żądanie żadość uczynić nie omieszkam. Przytem nadmieniam, iż z największą akuratnością uskuteczniam jak najdokładniéj strojenie fortepianów, za dobroć zaś i długotrwałość stroju pod każdym względem ręczę. Przytem posiadam klawikord zupełnie w dobrym stanie do sprzedania. *Makowski Roman.*

A PARIS, 13, RUE DE GRAMMONT.

MAISON DELISLE

A PARIS, 12, RUE DE CHOISEUL.

BREVETÉE DE S. M. L'IMPÉRATRICE DES FRANÇAIS,
DE LL. MM. LA REINE D'ANGLETERRE ET LA REINE DES PAYS-BAS,
ET DE PLUSIEURS COURS ÉTRANGERES.

HAUTES NOUVEAUTÉS

SOIERIES
ROBES ET MANTEAUX
DE COUR.

ÉTOFFES DE SES FABRIQUES
KORBEILLES DE MARIAGE ET TROUSSEAUX,
DENTELLES de FRANCE, de BELGIQUE et d'ANGLETERRE.

CACHEMIRES
DES INDES
ET DE FRANCE.

Comptoirs spéciaux de Confections, de Tissus Fantaisie, Barèges, Lingerie, Mousseline imprimée, dont les dessins sont la propriété exclusive de la Maison.

En vue de donner plus d'extension à ses affaires la maison **DELISLE** transportera ses Magasins, au 1 septembre 1860, dans un local beaucoup plus vaste, et situé au centre du quartier le plus fréquenté et le plus élégant de Paris,

6, BOULEVARD DES CAPUCINES, EN FACE DE LA RUE DE LA PAIX.

A cette occasion, toutes les marchandises, **tant anciennes que nouvelles de la saison,** seront vendues avec un rabais considérable, dans le but de les écouler en totalité, avant le changement de domicile, et de n'offrir que des marchandises fraîches dans le nouvel établissement.— *Un atelier de couture est attaché à la maison.*

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 23 kwietnia (5 maja) 1860 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.